

OPOWIADANIA





ROBERT KONCA

KLUB PIJAKÓW

Kiedy umrę, a kruki skończą już ucztę, to, co pozostanie ze mnie, oddajcie Matce-Ziemi i przykryjcie kamieniem z napisem: Był poetą i lubiał wypić.

Jest na Podlasiu wieś, której nazwy zdradzić mi nie wolno, a w której stoi niepozorny, mały dom o niezdecydowanym kolorze takim, że kiedy człowiek patrzy na tę brązową barwę, uśmiecha się w zadumie, zdając sobie nagle sprawę, jak na pierwszy rzut oka niewielka jest różnica między złotem a łajnem. Na ścianie domu ktoś napisał białą farbą: Klub Pijaków. Na szybie okiennej uwieczniono natomiast, również taką samą farbą, pasjonującą partię gry w kółko i krzyżyk. Po drugiej stronie domu widać spore podwórkę i starą, rozpadającą się stodołę. Przechodziłem przez tę okolicę wielokrotnie, ale nigdy nie zauważyłem w domu albo na podwórzu śladów ludzkiej obecności. Zawsze było cicho i pusto. A przecież, biorąc pod uwagę tutejszą kulturę picia, mimowolnie nasłuchuję się jednak śpiewu i wyzwisk, zaś oczy, jak satelity szpiegowskie, monitorują okoliczne trawy, rów i podwórkę w poszukiwaniu nieuchronnych, wydawałoby się, artefaktów w postaci butelek po winie owocowo-siarkowym, a może nawet siarkawym, czy piwie marki „Północne mocne”. Ale nic z tych rzeczy.

Pewnego dnia zdecydowałem się wstąpić do klubu.

Dom i jego najbliższa okolica sprawiały wrażenie, jakby nie podlegały już działaniu czasu albo działanie to było jedynie symboliczne. W nieruchomej przestrzeni sekundy krążyły z dostojną powolnością jak godziny sjeśty w gęstym, upalnym świetle dnia gdzieś w Andaluzji albo na Rostoczu. Mimo, że było ciepło, wrześniowe popołudnie, zastanawiał brak owadów i ptaków. Tylko cisza; pusta

autonomia ciasnego pejzażu, który umieszczono w probówce oddzielającej Klub od reszty wsi. I krople czasu, na które trzeba było czekać, aż jedna z nich spadnie na policzek jak woda z zepsutego kranu. Miałem zatem czas i okrażając dom w poszukiwaniu drzwi, po raz pierwszy od tak dawna wiedziałem, że nigdzie nie muszę się spieszyć. Czas dotykał tutejszej przestrzeni tylko na jej peryferiach i to bez właściwego sobie psychotycznego entuzjazmu, ale jakby od niechcenia, z obowiązku, z łaski. Przez te kilkanaście sekund koniecznych do przejścia trzydziestu metrów dzielących szosę od domu, myślałem spokojnie o wielu rzeczach, o meandrach fizyki kwantowej i alkoholu, zaśpiewałem w duchu kilka piosenek z repertuaru Jana Krzysztofa Kelusa, a także odebrałem lekko tylko zniekształcony przekaz poezji z Psiej Gwiazdy, czyli z Syriusza.

Drzwi były zamknięte. Tak właśnie pomyślałem najpierw, ale po chwili zorientowałem się, że sytuacja przedstawia się inaczej. Byłem zaskoczony sobą, tym, że nie odczułem przerażenia, a jedynie zdziwienie, gdy klamka nie zareagowała na ruch mojej dłoni; moja ręka nie była w stanie wywrzeć najmniejszego nacisku na ten kawałek metalu. Czułem swoje ciało, ale wiedziałem, że to o niczym nie świadczy. To kwestia przyzwyczajenia do materii; schemat mentalny, jak szczegółowa mapa zatopionego kontynentu. Ludzie na przykład często odczuwają bóle fantomowe amputowanych kończyn.

Zacząłem przypominać sobie, kiedy umarłem. To mogło nastąpić dawno temu. Niczego nie podejrzewając, pozwalałem karmić się iluzją życia, lgnąłem do niej, bo znałem ją i oswoiłem, a niepokojące fakty pozostawały niezauważone i spały na dnie mojej prywatnej otchłani.

Może to było w 2001 roku, kiedy spotkałem Borgesa. Pił piwo w chyba najgorszej spelunie w Karpatach. Wyglądał jak na

fotografiach z początku lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku: wsparty na solidnej lasce starzec o szlachetnej, pogodnej, a jednocześnie trochę smutnej twarzy, z której patrzyły szare oczy, przerażająco bystre i widzące, mimo swej ślepoty. On widzi to, co jest po drugiej stronie pomyślałem. Patrzy na labirynt tego świata jak arcy mistrz na szachownicy pełną jeszcze pionków i figur wiedząc już jednak, jaki będzie wynik gry. Zamówiłem piwo i zacząłem przeciskać się w stronę pisarza przez zadymioną salę pełną barczystych drwali i wychudzonych pijaków, pośród głośniejszych skarg i pozdrowień. Wreszcie usiadłem przy Borgesie, ale on już wycofywał się do innej przestrzeni, już tracił integralność swojej postaci. Zdażyłem jeszcze pochwycić jego spojrzenie i usłyszeć jedno słowo: „Despedida”. Pożegnanie. Zniknął, a razem z nim jego kufel piwa i połowa zawartości mojego. Uśmiechnąłem się i pomyślałem: Nie wiedziałem, Jorge Luis, że lubisz piwo. To, jaki alkohol preferuje pisarz czy artysta, jest niestety uważane przez biografów za błahostkę, a niesłusznie. Może nie jest aż tak: Powiedz mi, czym się upijasz, a powiem ci, kim jesteś. Ale czy Jerofiejew napisałby *Moskwa Pietuszki*, pijąc francuskiego szampana albo inne Malibu? Czy Bohumil Hrabal w ogóle by pisał, gdyby wlewał w siebie codziennie od rana dwudziestoletnią Whisky? Czy Malcolm Lowry stworzyłby *Pod wulkanem*, pijąc soft-drinki przez słomkę, a nie znając działania Mescal?

Pijąc piwo przypomniałem sobie fragment wiersza Borgesa pod tytułem *Pożegnanie*:

*Miedzy moja miłością a mną wzniesie się
Trzysta nocy jak trzysta murów
I morze będzie magią między nami*

Skoło spotykam umarłych, to oznacza, że także nie żyję? Jeżeli tak, to czym jest życie, czy tylko innym, ściślejszym stanem skupienia ciała? Klamka nie ustępowała, nawet nie drgnęła pod naciskiem mojej dłoni i nie wiem, jak, ale po chwili znalazłem się w środku Klubu Pijaków. Tak pomyślałem to rozrzedzenie ciała, atomy

powypadały ze swoich orbit i oddaliły się od siebie, mikrokosmos rozproszył się w makrokosmosie, materia stała się mgłą przenikającą przez ściany.

A może to nie śmierć, tylko pewien rodzaj rozszczepienia, mówiąc potocznie: wyjście z siebie myślałem, patrząc na Czarnego (którym przecież jestem, a przynajmniej byłem), który siedział przy oknie i pisał, nie zwracając najmniejszej uwagi na moje przybycie do Klubu Pijaków. No ale ten Borges, i parę innych osób, których daty śmierci należały do przeszłości, a których spotykałem czasami, wpadałem na nich znienacka na rogach ulic albo w kątach barów, zamieniając często z nimi kilka niewyraźnych zdań przy butelce czegoś mocniejszego. Parę razy spotkałem na



Bożena Zwierz

przykład Pawła, zmarłego kilkanaście lat temu. Miałem wrażenie, że Paweł, jak i inni umarli (poza Borgesem), nie zdawali sobie sprawy ze swojej śmierci. Poza wrażeniem rozrzedzenia ciała niewiele się zmieniło. Umysł nadal kontynuował swoje marzenia i spekulacje, a miał co analizować, zważywszy na przenikanie przez zamknięte drzwi i spotkanie innych, o których wiadomo, że już nie żyją. Czuję się niezręcznie, gdy rozmawiałem z Pawłem, wiedząc, że przecież umarł, a wszystko wskazuje na to, że o tym nie wie. To były trudne rozmowy, bowiem umarli mówią bardzo niewyraźnie, używając przy tym słów z obcych języków; prawdę mówiąc brzmi to jak zwykły bełkot. Ma to pewnie



Robert Konca

związek z tym, że posiadają oni jedynie fantomowe struny głosowe. Czułem się więc niezręcznie, a teraz okazało się, że nie potrzebnie, bo byłem, jak Paweł, martwy. Słuchałem tych dziwnych dźwięków, za pomocą których Paweł usiłował mi coś przekazać, a później tłumaczyłem mu jego sytuację, opowiadałem, co się dzieje w świecie żywych, co słychać u starych znajomych. On pilnie słuchał, ale ja, zdziwiony widziałem, że bezradnie kiwa głową, nie rozumiejąc, co mówię. Pamiętam, jak mu współczułem, że nie rozumie moich klarownych myśli wypowiedzianych tak wyraźnie przez aparat mowy, ale gdybym wsłuchał się w swój głos, usłyszałbym tylko niewyraźny, tajemniczy szepot pozbawiony samogłosek i modulacji, monotonny jak stukot kół pociągu. Swoją drogą, te rozmowy umarłych przypominają niektóre rozmowy żywych, którzy choć rozumieją nawzajem swoje słowa to nie są w stanie zrozumieć rozmówcy. A więc i w tym względzie śmierć nie czyni wielkiej różnicy.

Może umarłem przed laty w Klubie Atrapa w Jeleniej Górze, a pierwszym znakiem śmierci była nagła przemiana kufli piwa w czaszki wypełnione krwią. Piłem tę krew otoczony stadem głodnych demonów o wstrętnych, zdeformowanych pyskach, skaczących w rytm jakiejś żalosnej namiastki muzyki. W taflę krwi, jak w magicznym lustrze, zobaczyłem swoje odbicie, tak nieprawdopodobne i obce,

naznaczone piętnem odwiecznego zła, że z ulgą straciłem poczucie tożsamości. Pamiętam tę chwilę: smak krwi, która nie gasiła pragnienia i nieludzka siła pelzająca w moim ciele jak dziesięciometrowy pyton, nad którą nie miałem żadnej kontroli. I ta przemożna wola zniszczenia wszystkiego wokół, całej tej atrapy życia. Usiłowałem opowiedzieć o tym przyjaciółom, którzy byli obok mnie, ale szybko zrozumiałem, że to niemożliwe, bo przecież oni znajdują się w innym świecie, gdzie jeszcze można beztrosko się bawić i pić zwyczajne piwo ze szklanych naczyń. Wreszcie nadeszło uczucie nieistnienia; łaska cienia spłynęła niewiadomo skąd i spowiła łagodnym całunem krainę domniemanej śmierci.

Oczywiście, patrząc na Czarnego w Klubie Pijaków, przerywającego nagle pisanie i nalewającego sobie pół szklanki jakiegoś destylatu, patrzącego gdzieś w dal za oknem pokrytym kółkami i krzyżykami, zdawałem sobie sprawę z tego, że ta śmierć może być tylko formą ucieczki, czymś, co umysł łatwiej zaakceptuje od jakże bolesnej świadomości, że te spotkania z Borge-sem, demonami i czaszkami to epizody schizofreniczne w postaci niemal klinicznej. Może Klub Pijaków i wszystkie wspomnienia są tylko chorą wizją Czarnego przebywającego od dawna w domu bez klamek, przypiętego pasami do łóżka, ale cóż znaczą pasy i cykliczne strzykawki pełne kolorowych kłamstw, wobec kreacji umysłu, który przyjął dar szaleństwa, stając się inkubatorem dla motyla schizofrenii, z którym teraz szybuje, pijąc nektar z kwiatów dobra i zła; porusza się na wskroś czasu i już nie dostrzega różnicy między jawą a snem, życiem a śmiercią.

Zbliżając się powoli do stołu, za którym siedział Czarny, pomyślałem, że niepotrzebnie to wszystko analizuję; jakie to właściwie ma znaczenie żywy czy martwy, szalony czy normalny te słowa niczego nie opowiadają o tych stanach ducha, umysłu, materii. Pamiętam zdanie z książki pod tytułem *Psychopatologia* Davida Rosenhana i Martina Seligmmana (dwóch psychiatrów pracowało nad nim, dzień i noc), które Czarny kiedyś zapisał w swoim notatniku: „Jednostka, która twierdzi, że

widziała Minotaura i podała mu rękę, a następnie zjadła z nim kolację, cierpi na halucynacje”. Czarny uśmiechnął się i odetchnął z ulgą, mrucząc: Jestem zdrowy. Z Minotaurem zjadłem raz tylko obiad i wypilem kilka butelek wina „Bycza krew”.

Patrzyłem na Czarnego. Wydawał się pasować do tego cichego klubu zagubionego na małej wsi, gdzie wrony zawracają; klubu, w którym piją już tylko na wpół przezroczyste istoty; piją w ciszy i skupieniu, wypatrując czegoś lub kogoś w nieruchomej przestrzeni. Czarny kiedyś nie pił w ogóle. Jednak rozwijająca się niezwykła wrażliwość, a być może i predyspozycje genetyczne, sprawiły, że zaczął próbować alkoholu. Picie trochę koiliło tę przemożną chęć oplakiwania świata, łagodziło współczucie, które skierowane było do wszystkiego, co żyje, do ludzi, zwierząt, roślin, ale także do minerałów, plastiku i metali żelaznych i nieżelaznych, a

najbardziej do złomu. Pamiętam, jak Czarny zbudził się któregoś dnia roztrzęsiony i smutny na skutek snu, w którym wysłuchał tragicznych zwierzeń pewnej leciwej lokomotywy spalinowej. Tolerancja alkoholu u Czarnego stała się swego czasu niemal legendarna. Zero siedem wódki i do tego wiadro piwa nie stanowiły problemu. Nie można jednak cały czas być w najwyższej formie. Teraz pół litra i parę piw wystarczą do utraty koordynacji, a następnego dnia smutek staje się czasem trudny do zniesienia. Depresyjna natura Czarnego z wiekiem przechodziła w fazę pewnego ascetyzmu, odsunięcia się od świata na tyle, na ile to możliwe. Czuł, że jego naturalnym stanem jest odosobnienie i medytacja pośród skalistych turni i szemrzących potoków. Z drugiej strony, jako archiwista umierającego świata, potrzebował też kontaktów z innymi ludźmi, chciał nadal poznawać ich życie,



radości i cierpienia. I tu alkohol ponownie stał się pomocny, wydawał się niszczyć sztuczne bariery między ludźmi (póki nie tworzył nowych), a poza tym nic tak nie łączy z rzeczywistością jak nawyk, by nie powiedzieć: nałóg. Czarny prowadził też badania nad alkaloidami różnych roślin w celu zastąpienia lub uzupełnienia alkoholu. Chciał znaleźć substancję, która łączyłaby towarzyskie zalety alkoholu z psychodelicznym działaniem niektórych ziół; wtedy rozmowa stałaby się medytacją. Przygotowywany razem z Arturem eksperyment z absyntem został jednak odłożony do następnej wiosny. Obiecujące rezultaty przyniosły natomiast badania z użyciem nalewki z pigwy. To było podczas wielkiej jesiennej wyprawy Artura i Czarnego na peryferie Miasta. Na początku droga wiodła nieczynnym od dawna torrem kolejowym, którym niegdyś jeździł słynny pociąg relacji Lublin-Gdynia, zwany Włóczęgą Północy. Tam, na ostrzu stalowych szyn, nastąpiła pierwsza degustacja. Dla porządku trzeba dodać, że chłopaki mieli także butelkę miętówki i nie można wykluczyć, że w połączeniu z pigwą wystąpił efekt swoistego synergizmu. Percepcja rzeczywistości, a może sama rzeczywistość, zmieniła się po około dwudziestu minutach. Pierwszym znakiem był wielki, ufortyfikowany budynek otoczony dziesięciometrowym ogrodzeniem, z lądowiskiem dla śmigłowców i potężną, metalową bramą pełną kamer i



Robert Konca

fotokomórek. Posesja była pusta i cicha i można było jedynie snuć przypuszczenia, czyją Obecność skrywa i ku czyjej czci wzniesiono tę ponurą świątynię na przedmieściach powiatowego miasta S. Chwilę później, w pobliskim wąwozie natknęli się na betonowe silosy wkopane w ziemię, przywodzące na myśl instalacje rakiet balistycznych. Zdaje się, że mamy już tarczę antyrakietową powiedział Artur. Raczej gwiazdne wojny - mruknął Czarny, odpalając papierosa. Poszli dalej tym wąwozem, do którego od strony Miasta prowadziły błyszczące nowością tory kolejowe. Następnie wędrowców pochłonął wielki labirynt należący do Królestwa Kolei Żelaznych, którego korytarze rozwidlają się we wszystkich kierunkach, pokrywając swoją siecią niezmiernie przestrzeń Eurazji, od Lizbony po Władywostok, od Murmańska po Palermo. Szli przed siebie, pośród tajemniczych zwrotnic, które zmieniały czasem kierunek poruszania się Artura i Czarnego, kierowały ich ku zapomnianym lokomotywowniom i magazynom wypełnionym gruzem, rupieciami i starym, leniwym mrokiem, w którym coś zdawało się spać, czekając na przebudzenie. Kolejne, starannie odmierzane dawki pigwówki zastały ich na ślepym torze, w zniurcho miałym czasie, pod złamanym semaforem. Tędy jeździły tylko pociągi pod specjalnym nadzorem, przewożące pasażerów ze stacji Czas do stacji Wieczność, gdzie pracowały pełną parą kwantowe maszynownie zajmujące się przemianą materii w eter. Wzmocnieni pigwówką, odświeżeni miętą trzydziestoprocentową, zaglądali bez lęku, jak ciekawskie dzieci, w okna maszynowni, obserwując z uwagą rozpuszczające się ciała i przedmioty codziennego użytku. Czuli pod palcami drżenie całej budowli; ich ciała także wibrowały gotowe na eteryczną komunę. Nie dane im jednak było zmienić stanu skupienia i ulec rozproszeniu, poczuł bowiem tę nie znośną sprzeciwu wolę napicia się. Przed zachodem słońca stali na wiadukcie nad torami spinającym dwa światy i popijali z rozkoszą złoty destylat, a wschodni wiatr szeptał im do ucha swoje

tajemne instrukcje...

Stałem przy stole. Czarny czytał wiersz
Borgesa *Moje książki*:

*Moje książki (które nie wiedzą, że istnieję)
Są cząstką mnie tak samo jak twarz
O siwych skroniach, z dwojgiem szarych oczu,
Których daremnie szukam w głębi lustra,
Których dotykam wklęsłością mej dłoni.
Nie bez gorzkiej logiki
Myszę, że słowa istotne,
Które mnie wyrażają, kryją się wśród stronic
Nie wiedzących, kim jestem, a nie wśród kart mych
książek.
Tak jest lepiej. A głosy umarłych
Wypowiedzą mnie całego na zawsze.*

A może umarłem wtedy razem z Wojtkiem,
przy flaszcze czystej i słodkim batoniku na
zagrychę, gdy zamiast o kobietach czy o
sporcie, rozmawialiśmy o sensie istnienia,
z każdym zdaniem zagłębiając się w
dusznej otchłani, w której nasze myśli
ulegały anihilacji. Aż w końcu mogliśmy

już tylko milczeć, całkowicie trzeźwi
mimo pustej butelki, bo wiedzieliśmy, że
odtąd nic już nie będzie takie samo, że
padło o jedno pytanie za dużo. Albo w
1996 roku, gdy zapisałem następujące
słowa:

*Myszę, że i śmierć nie wyjaśni niczego
Bo gdy światło gaśnie, mrok nie mówi dlaczego*

i w tym właśnie momencie żarówka pękła z
trzaskiem i potem siedziałem w ciemnym
pokoju zdziwiony tak szybko i konkretną
odповідzią...

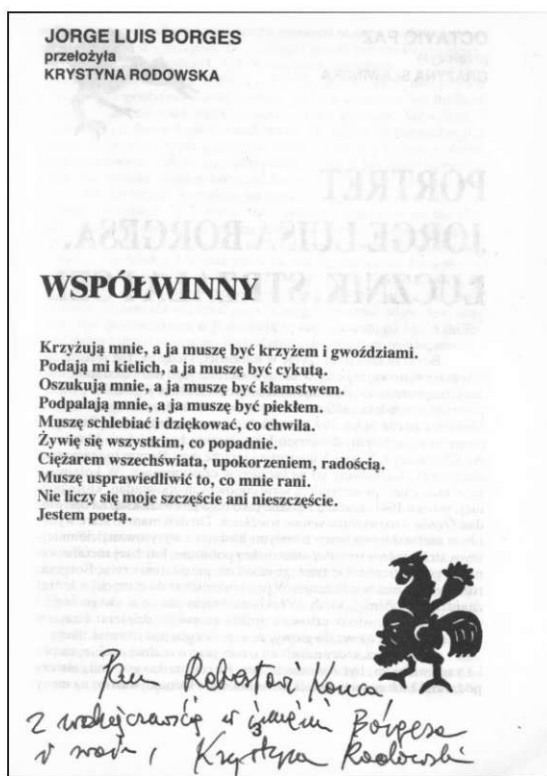
A w Klubie Pijaków Czarny znowu pisał,
popijając Miodówkę Lubelską, od której mi
też zaczęło się kręcić w głowie czy wspo-
mnieniu głowy. Nagle zauważyłem, że w
kącie pokoju, w cieniu na starej kanapie,
siedzi potężny i milczący Drwal Vlado i
pije borowiczkę z litrowej butelki, bez
skrzywienia ust, jak źródłaną wodę. Mam
nadzieję, że chociaż ty żyjesz pomyślałem.
Minęło parę lat od naszego ostatniego
spotkania w Karpatach i wiesz, nawet
napisałem opowiadanie o twoich dalszych
losach; napisałem tak, jakbym chciał, żeby



potoczyło się twoje życie. Vlado tylko wzruszył szerokimi ramionami i bez słowa podał mi flaszkę. Wypiłem spory łyk i poczułem, jak alkohol szybko rozprzestrzenia się po moim lekkim ciele, obejmuje świetlistym błogosławieństwem jego niezmierzone dorzecza. Usiadłem obok Drwala Vlado, gdy w Klubie pojawił się jeszcze jeden gość. Cyganka Marta zaczęła zmysłowo tańczyć tuż przy Czarnym, co chwilę obdarzając go astralnym dotykiem i pocałunkiem, których Czarny nie mógł w pełni odczuć, ale ja i owszem, a Czarny tylko uśmiechnął się zagadkowo, przerwał pisanie i nalał sobie miodówki do szklanki, wypił odrobinę i powrócił do pisania, gdy tymczasem Cyganka Marta (o której właśnie myślał i pisał) kradła ze szklanki swoim długim, węzowym językiem miodówkę kroplę po kropli; po paru minutach Czarny odłożył długopis, machinalnie sięgnął po prawie pustą szklankę i zdziwiony pomyślał: „Czy ja nie za szybko piję? Przecież przed chwilą nalałem do pełna. Nawet nie pamiętam, kiedy wypiłem...” pokiwał w zamyśleniu głową i zapalił papierosa. Wówczas, korzystając z subtelnych kręgów dymu, Cyganka Marta rozpoczęła skomplikowany rytuał transferu borowiczki z butelki Drwala Vlado do szklanki Czarnego.

Wstałem z kanapy, zatoczyłem się lekko na ścianę i natychmiast znalazłem się na zewnątrz Klubu Pijaków. Rozejrzałem się i stwierdziłem, że poza strefą Klubu była już zima. Przez rozwalone ściany stodoły widziałem w dali oszronione drzewa i niespokojne stada czarnych ptaków. Niezły ciąg, pomyślałem - od jesieni do zimy. Wróciłem do Klubu, a tam nie było już nikogo. Na stole leżała kartka papieru i stara „Literatura na Świecie”, wydanie poświęcone Borgesowi.

Pamiętam wieczór autorski Krystyny Rodowskiej, znakomitej poetki i tłumaczki, między innymi wierszy Borgesa. W pewnym momencie ze ścian Centrum Kultury i Sztuki w powiatowym mieście S. zaczęły spadać jedna po drugiej wszystkie dekoracje przygotowane na ten wieczór. Powiało grozą i tajemnicą, a ja wiedziałem, że Jorge Luis był wtedy z nami. I wie-



działem, co mam robić. Podałem swój sfatygowany egzemplarz „Literatury na Świecie” pani Rodowskiej i poprosiłem, aby przeczytała nam wiersz Borgesa pod tytułem *Współwinny*:

*Krzyżują mnie, a ja muszę być krzyżem i gwoździami.
Podają mi kielich, a ja muszę być cykutą.
Oszukują mnie, a ja muszę być kłamstwem.
Podpalają mnie, a ja muszę być piekłem.
Muszę schlebiać i dziękować, co chwila.
Żywię się wszystkim, co popadnie.
Ciężarem wszechświata, upokorzeniem, radością.
Muszę usprawiedliwić to, co mnie rani.
Nie liczy się moje szczęście ani nieszczęście.
Jestem poetą.*

Pod wierszem pani Krystyna napisała dla mnie dedykację: „Z wdzięcznością w imieniu Borgesa i swoim”. Spojrzałem na kartkę pozostawioną przez Czarnego.

Przeczytałem:

Kiedy umrę, a kruki skończą już ucztę, to, co pozostanie ze mnie, oddajcie Matce-Ziemi i przykryjcie kamieniem z napisem: Był poetą i lubiał wypić.





JADWIGA GRABARZ

Mysz cyrkowa

między jednym przystankiem a
godziną,
kiedy z omegi wyrasta kolejny początek
miejskie świetliki wiszą
i kołyszą gwar za oknem
dokąd można jeszcze pozostać
bilon na dłoń i wytrząsam iskry i
krzeszę
sweter o piec kaflowy, zimny, ale pełen
dusznego powietrza myśli się kłębią
w wykładziny, granat godziny taki sam
albo inny, który można delektować

a po Brackiej chadzają wciąż czarne
koty
i gołębie na rynku - tylko jakby
nieświadome a może wiedzące więcej
dziobią ziarno sypane z nadzieją, że
pofrunie
chlebem w niebo sukien, do okien,
gdzie jeszcze czekają je wiersze
najpiękniejsze

ranek rozkłada niebieski baldachim,
na nim białe kreski rysowane
samolotem,
potem nadchodzi publika i czeka
dostaje mysz zamiast człowieka,
co stawia ostrożnie nóżki na linie

w Galicji wciąż robią najlepsze grzańce

Czekolada, bar mleczny i rodzyнки

Co mi powiesz na szron i przystanki,
na ręce w kieszeniach przed mrozem
ukryte, spowite ciszą jak świty?
Wybudzasz kawą w tory i szyny

Wiesz, ja się boję, zawsze na światłach
jest taki moment, gdy obcas się waha,
nie wierzy oku, ręce w kieszeniach
moja jest prawa - byle do arkad

Półtorej godziny tyle trwa podróż
deszcz wystukuje marszowe kroki,
które dotykami mi przeinaczasz
w rumieńce o barwach jesiennych liści

Mgiełka wieczoru jest porą przytuleń
mruczących już od drzwi, łaszących się
wokół.

Ciepło dziś widzę za szybą, rozmyty
listopad. Podobno szczęście leż się nie
wstydzi

Czasoprzestrzeń. Neverending?

Biegniesz i ja biegnę przestrzeń się
zamyka,
chwycona w obcęgę penetruje oko,
pachnie księżycówką *Silence*, czas chyba
zwariował -
z arlekina błazen huśta czasoprzestrzeń

Księżyc też się dziwi, złapał się za głowę
i ciężko oddycha, w zimno puszcza parę
jakby chcąc rozmrozić lodu mleczną
drogę.

Zostawia pytanie, co z nas będzie
potem?



MAKSYMILIAN DYMITR CZORNYJ

ABENTAJERY KAZIMIERSKIE

In Nomine Patris

Po ostatnich opadach deszczu Wisła weszła, a nurt był szybszy i bardziej zdradliwy niż zwykle. Czterech mężczyzn z trudem radziło sobie z wielką, pełną drwa tratwą. Ich mięśnie były napięte, oddechy przyspieszone, a spojrzenia szybkie i uważne. Poprzecierane łachmany ociekały wodą, mieszając ją z gęstym błotem na deku.

Było zimno, a na rzece wiał mocny wiatr.

Zdawało się, że szare, ciężkie niebo zwisa tuż nad ziemią, siąpiąc nieprzyjemną mżawką. W oddali, na prawym brzegu widać już było wielkie spichrze Kazimierza.

- Piotrze, wybadaj głębokość! - komenda retmana przecięła plusk rzeki.

Wielki mężczyzna, z czarną zmierzwioną brodą i gęstymi włosami wymykającymi się spod futrzanej czapki przeszedł na przód tratwy. Chwycił długi, solidny drąg i uważnie spuścił go w nurt Wisły. Sprawnym ruchem obrócił się i z całych sił zaparł o drwa. Pozostali flisacy jednocześnie unieśli wiosła i pychy tak, że tratwa niemal zatrzymała się.

- Półtora sążnia!

Retman z niepokojem odjął od ust fajkę i zerknął na skalisty brzeg. Nie dostrzegł żadnych wirów i uspokojony odwrócił się w stronę drugiej tratwy. Uniósł wysoko dłoń i pomachał.

- Półtorej sążnia! - krzyknął chrapliwie. - Ciągnijcie z dala od brzegu!

Zatarł zmarzniete ręce i otulił się sukmaną.

- Jeszcze chwila i będziemy w Kazimierzu - odezwał się do towarzyszy. - Hej, ho żwawo!

Pokrzepieni jego słowami, zerwali się do ostatniego wysiłku. Nie bacząc na strumienie przelewającej się lodowatej wody przekładali liny, bijąc wiosłami o jesienną taflę rzeki. Krew na ich skroniach pulsowała ze zdwojoną siłą, żyły obrzmiały, a oddechy przyspieszyły. Dyszeli i parskali, nie pozwalając nawet myślom na chwilę odpoczynku.

- Piotrze, wypatruj mielizn! Szanc, nie szanc, trzeba być ostrożnym.

W dni, kiedy nurt rzeki był szybki, a poziom wody wysoki, musieli płynąć blisko brzegu, niekiedy zapierając się o niego pychami i mocnymi dragami. Wymagało to uważnego kierowania i zgrania załogi.

Biel kazimierskich spichrzy zbliżała się z każdą chwilą, napęniając serca flisaków ulgą.

Widoczna z oddali wieżyczka kościoła przypominała o upragnionym niedzielnym odpoczynku, a solidne mury zamku napawały nieokreśloną dumą.

Ponad szumem rzeki poniosły się słowa dumki. Załogi trzech pozostałych tratw znalazły ulgę w prostej, rytmicznej przyśpiewce.

- Flisaczkowa żona, siedzi sobie doma. A flisaczek, nieboraczek, robi na chleb jak robaczek, płynie do Torunia!

- Skupcie się! - krzyknął retman. - Płynicie uważnie. To niebezpieczny odcinek.

Las skończył się i tratwy wpłynęły między



Małgorzata Kołkiewicz

zakola i piaszczyste wysepki. Na wybrzeżu zebrali się pierwsi kupcy, a rybacy szybko uprzętały swoje łodzie.

Piotr czuł, jak wyslizgane drewno wiosła wbija się w jego dłonie. Pękające odciski piekły przy każdym gwałtownym ruchu, a bosa stopy wykręcało zimno. Stał, zapierając się o drewniane kłody, które ze specjalnej ścinki mieli spławić aż do Gdańska.

- Ustawmy nasze skutki w jednym miejscu - nakazał retman. - Niech te krypy, pokażą na co je stać!

Na brzegu flisacy musieli wystawić część swoich towarów dla mieszczan, którzy coraz tłumniej pojawiali się na usypanym, piaszczystym wale. Było to kłopotliwe i zarazem zbawienne, bo pozwalało na w pełni usprawiedliwiony odpoczynek. Myśli oryli same uciekały ku karczmom i hulance, ale z trudem powstrzymywali je i zmuszali do baczego obserwowania dna.

Nagle tratwa obróciła się, zatoczyła krąg na wodzie, a jej przód gwałtownie się zanurzył. Wszyscy flisacy znaleźli się w przenikliwie zimnej rzece. Rozpędzona tratwa pomknęła między nimi, aż wreszcie z łomotem uderzyła o kamienne wybrzeże. Liny puściły i wielkie bale, trzeszcząc potoczyły się na obie strony. Piotr poczuł jak zahacza kolanem o wystające z dna gałęzie, które rozszarpują jego szarawary i tną odrętwiałą zimnem skórę. Uchwycił w pasie retmana i spróbował stanąć. Muliste dno uciekło spod jego stóp i zdradliwie rzuciło w stronę rozpędanego nurtu.

W tym momencie objęły go silne ręce i jednym ruchem podciągnęły ku górze. Strumienie wody zlały się z jego łachmanów stapiając w jeden dźwięk z szumem Wisły.

- Puść go, no rzesz puść! - Słowa odbijały się w jego głowie tępym echem. - Wypuść, bo nie utrzymamy cię!

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że dłońmi obejmuje głowę retmana. Poczuł ciepłą lepkość i zobaczył zmasakrowany policzek i wysokie czoło.

- Seweryn! - Ten sam głos był spokojniejszy i rozważniejszy. - Bierż retmana, łap go za dłoń.

Lepkie włosy wywinęły się z dłoni Piotra.

Popatrzył ku górze obrzucając tępym wzrokiem pełne ludzi nabrzeże, a wreszcie siwe niebo i czerwone twarze nad sobą.

et Filii

Ksiądz Ignacy z zapalem szykował swoje notatki. W niedzielę miał wygłosić pierwszą mszę, w nowootwartym kościele św. Ducha. Było to wydarzenie, którym od tygodni żył cały Kazimierz. No, prawie cały, wyjątkiem byli wszechobecni Cyganie i Żydzi, dla których święto nie miało żadnego znaczenia.

Zmęczony pracą odłożył na bok Pismo Święte i wyjrzał przez okno. Przypomnił sobie o akcie sobotniej spowiedzi, którą obiecał żonie sołtysa, Marcie, a wkrótce miał udać się do rodzinnego domu, gdzie obłożony chorobą leżał jego ojciec.

Daleko, jeszcze przed piaszczystymi zakolami Wisły, płynęły tratwy flisackie. Siwe, jesienne niebo rzucało mglisty cień, spowijając rzekę mistycznym dymem.

Ksiądz obserwował ją przez chwilę, aż wreszcie gnany sumieniem odwrócił się, poprawił sutannę i zszedł na rynek.

Budnymi, smutnymi uliczkami krążyli kupcy żydowscy, którym zabroniono udziału w handlu nadbrzeżnym. Żli i zmarznięci plątali się między domami, rzucając ciche przekleństwa. Czuli się oszukani i poníženi, a nierozpatrzone przez sołtysa petycje wzbudzały ich odrazę. Potajemnie radzili nad rozwiązaniem sytuacji, ale obawiali się gniewu nowowybranej rady. Już przed kilkoma dniami, jednogłośnie zdecydowali się czekać i obserwować wydarzenia.

Ignacy nachylił się nad drewnianą studnię, wzniesioną pośrodku rynku. Poczuł zapach wilgotnego drewna i zimnych, mokrych kamieni. Zacerpnął wiadro i obmył twarz. Pracował nieprzerwanie od samego świtu, a teraz z trudem zbierał zmęczone myśli.

Minął podcienia kamienicy Radców Miejskich, przeszedł nad kanałami i przystanął przy drewnianych drzwiach murowanego domu. Z westchnieniem wszedł na ciemną klatkę schodową.

- Ignac! - zmęczony głos poniósł się echem. -

Ignac, właśnie ciebie wyglądałam!
 Zza uchylonych drzwi wyglądała
 pomarszczona, kobieca twarz.
 - Chodźże prędko. Ojciec chce cię zobaczyć.
 Stary Krusziwski leżał na wysokim łożu,
 obłożony stosem pierzyn i poduch.
 Oddychał ciężko i nierówno, pół-
 przytomnie wywracając oczami. Jego
 blada, wychudzona twarz nasunęła
 Ignacemu na myśl średniowieczne
 przedstawienia Danse - Macabre.
 - Matko Święta - szepnął wzruszony. Nie mógł
 powstrzymać tych słów i poczuł wstyd.
 - Wyspowiadaj mnie - bezsilny starzec wyma-
 mrotał ciężko.
 W tym momencie do pokoju wpadł
 zdenerwowany chłopiec. Jego wielkie
 ciemne oczy były zaczerwienione, a wargi
 suche.
 - Flisacy - krzyknął roztrzęsiony - Flisacy, wpa-
 wpadli do wody, podtopieni, z towarami!
 - Co z nimi? - zapytał zmartwiony Ignacy.
 - Jeden umierający! Prosi o ostatnie wysłu-
 chanie!
 - Gdzie jest?
 - Leży na nadbrzeżu!
 Ignacy z żalem popatrzył na ojca.
 - Idź, idź - odpowiedział leżący kupiec. Ja tu
 poleżę i poczekam, aż... wrócisz. To twój
 obowiązek.
 Ksiądz stał nie mogąc zdecydować się na żaden
 krok.
 - No idź! Na Boga, idź!
 Chłopiec pociągnął go za rękaw. Utkwił w nim
 wyczekujące spojrzenie.
 - Dobrze - postanowił Ignacy. - Prowadź mnie.

Ranny flisak z trudem wypowiadał słowa,
 cedził je, a jego język przypominał twardą
 kłodę, o którą rozbijały się próby sklecenia
 zdań. Ignacy w skupieniu przekładał róża-
 niec, odwrócił się tylko raz, na zawołanie
 służącego ojca.
 - Pan, proszę księdza, nie żyje.
 Niebieskie oczy Ignacego wymierzyły niebu
 bolesne spojrzenie.

et Spiritus Sancti

- Dymitrze! - Wąty rybak odwrócił się do
 towarzysza. Pomóż ty mi z tą łodzią!

Lada moment do nadbrzeża miały przybić
 tratwy flisackie i z nakazu sołtysa przystań
 powinna być uprzątnięta. Obaj mężczyźni
 z całych sił chwycili za burtę łodzi i stę-
 kając wyciągnęli ją na brzeg. Szorując po
 piasku znaczyła w nim głęboki ślad, wy-
 pełniając powietrze mdłym zapachem
 wilgoci i mułu.
 - Ja płocha ciustfuju siebia - mruknął Dymitr. -
 U mienja tiempieratura.
 Rybak z drugiej łodzi pogardliwie splunął.
 - Wy, Rusini, wszyscy jesteście bezużyteczni.
 - Ach, da? Eta mienia razdrażajet!
 - Co, proszę? Gadał sobie, gadał!
 Wąty towarzysz Dymitra delikatnie opuścił
 łódź.
 - Dajcie spokój - powiedział. - Zostawcie to.
 Wyjmij czerpak i przekop rów.
 Dymitr bez słowa wyrzucił na brzeg dużą
 szufłę i zanurzył ją w mokrym piasku za
 rufą łodzi.
 - Lepiej zrobiłby to drapaczem - parsknął rybak
 z drugiej łajby. - I tak zajmie mu cały
 elmat.
 - Przekłęci flisacy - zmienił temat czwarty
 rybak. - Jak myślisz Janie, ile zarobią?
 - Nie wiem - Przyjaciół Dymitra bezradnie
 rozłożył spracowane dłonie. - Pewno
 więcej niż my.
 - A pracę jaką mają! Siedzą na zadach i nic nie
 robią. Ino towaru pilnują.
 - Nas się ryby nie mają.
 - Ano, trzeci połów jak galeas w czas flauty.
 Wszystkie łodzie znalazły się na brzegu i
 mężczyźni popatrzyli na południe, w
 stronę zakola Wisły. Tratwy flisackie
 wyłoniły się zza wysepek mknąc prosto ku
 kazimierskim kupcom.
 Gdyby mieć tak pieniądze powiedział
 smętnie Jan to można by coś, tego
 ichniego drwa kupić. Bo tańsze niżli tutaj.
 A i zbożem by nie pogardził.
 - Tfu - splunął zadziorny rybak. - Wiselka cię
 karmi, nie pole!
 - Ale chce się czasem zarobić i przysiąść w
 spokoju. Nie myślałeś o tym, Kubo?
 Tratwy zbliżyły się, podchodząc prawie ku
 skałom wybrzeża. Dymitr odrzucił czerpak
 i stanął prostując plecy. W tym momencie
 usłyszał trzask, a gdy tylko się obrócił
 zobaczył rozrzuconych w rzece flisaków.
 Ich potężne sylwetki odcinały się od linii
 wody, niesione w dół prądem.

Zaśmiał się głośno.

- Ścisliwawa puti! Ja was sierdiečna pazdrawliaju!
- Tu się z nim zgadzam - prychnął Kuba. - Przekłete towarowce, a pływać nie potrafią!

Rybacy zebrali się na brzegu obserwując wijących w wodzie flisaków. Zadowoleni spoglądali na unoszące na Wiśle bale, w milczeniu wymieniając pogardliwe spojrzenia.

- Potopią się odezwał się wreszcie Jan. - Potopią jak muchy.
- To się potopią - przytaknął najmłodszy z rybaków. - To się potopią, a więcej nam z wody wylażyć nie karzą.

Jan bezradnie machnął ręką i odwrócił się w stronę łodzi. Odłożył na miejsce czerpak i rozprostował liny sieci. Nie odwracając się parsknął głośnym śmiechem.

Domine

Kupcy kazimierscy tłumnie wylegli na nabrzeże oczekując przybycia flisaków. Ceny przewozowe wystawianego towaru zawsze były niskie, a produkty warte kupienia i handlu. Zboże w spichrzach z każdym dniem drożało, więc zdobycie go jeszcze na wyładunku zapewniało znaczne zyski i możliwości.

- Tym razem tylko drwo - oznajmił Michał. Wychylał się nad drewnianą przegrodą, zerkając w górę biegu rzeki. - Cztery tratwy.
- Nie dużo tego - odezwał się ktoś z boku.
- Wystarczy, żeby cena była przystępna. Michał czochnął swoją bujną, czarną brodę. W myślach szybko przeliczał możliwe wartości i zyski.
- Niech ktoś zabierze tych łajdaków - Niski kupiec wskazał na rybaków. - Niechże uprzątną łodzie i zrobią miejsce na towar.
- Dawno mówiłem, żeby zrobić tu przystań, a nie było żadnej petycji!
- Petycje, petycje i petycje! Czcze gadanie! Do diabła z nimi! Ja na nic nie wyłożę pieniędzy.
- Sam bym postawił, ale zaraz zlecicie się jak gachy do kiepa!
- Nie masz prawa, przystań rzecz publiczna! Chcesz wznosić? Dobra, ale pro publico

bono!

- Nie radźcie nad przystanią - Niski kupiec spurpurowiał ze złości. - Ale niechże pogonią tych rybaków! Towar nie może czekać!

Tratwy flisackie minęły ostatnie zakole zbliżając się do skalistego brzegu. Potężne postacie z bliższą rosły do nadludzkich wymiarów.

- Zdrowe chłopcy - skwitował Michał.
- Jak od pługą oderwane, szczęść Boże ich pracy.

Kupiec w czarnym płaszczu i wysokim czepcu wskazał w stronę wieżyczki kościoła.

- Jutro msza - oznajmił poważnie. - Niech was czort broni od abentajerów. Już dawniej od chciwości nas posadzają jak Żydów.

- Żydzi, mój panie, to inna sprawa!

Szybko podniósł się tumult, a każdy z zebranych rozpychając się pragnął wyrazić swoją opinię. Michał wspiął się na drewnianą przegrodę.

- Panowie! - krzyknął ostro. - Panowie kazimierscy, przyjaciele! Co nas tu Żydzi i foryestrzy obchodzą?





Joanna Bukowska

- Co? Co? - wrzawa ogarnęła całe nabrzeże. -
Listami królewskimi z wyładunku tylko
Polacy mają prawo korzystać!
- Żydowskie bzdyki na rynku czekają,
kazimierska fara niech ich pokarze.
Przez chwilę nikt nie zwracał uwagi na
flisaków. Ich sprawa, jak to zwykle bywało,
stała się tłem do szerszej dysputy nad
handlem w Królestwie. Dopiero plusk i
stłumiony krzyk przykuł uwagę zebranych.
- We wodę wpadli! - padł lament. - We wodę z
towarem!
- Diabelne ofermę!
- Drwo się stoczyło, nasze drwo!
- A rybacy? - padło z tyłu pytanie. - Co z nimi?
- Nic, patrzą się psu braty! Niech ratują, to nasz
towar!
Michał zaklął pod nosem i skupiony kucnął
przy drewnianej przegrodzie. Zastanawiał
się nad zmianą cen, na powrót kalkulował
zyski i kwoty. Wiedział, że wcześniejsze
obliczenia wezmą w łeb, o ile wszystkie

bale nie zostaną zebrane.

A Pan Bóg, jak to Pan Bóg, patrzył na wszystko
z nieba i smutno kiwał głową. Wzdychał i
mruczał, gniewnie zerkając w stronę no-
wootwartego kościoła Świętego Ducha.
- Niech go pierun trzaśnie! - szepnął.
I wtedy stało się. Kościół wybuchnął pożarem,
który strawił go całkowicie, pozostawiając
tylko nadpaloną ścianę i kamienny funda-
ment. Od tego czasu ludzie mówili:
- Abentajer panie, toć jest abentajer
kazimierski!





IZA STANIEC - JASKOWSKA

Co można zrobić ze starym modelem

roztrzaskać
cisnąć nim o ścianę
patrzeć z zaciekawieniem
jak wysypują się z niego
kolejno wszystkie numery
na jedną kupkę ci
do których się czasem dzwoniło
na drugą zapomniani
lub którzy zapomnieli
albo zmienili numer
w powietrzu wirują jeszcze ci
do których wysyłało się
najwięcej esemesów
teraz wszyscy w jednym milczeniu
za jednym pociągnięciem zmiotki
ładują na szufelce
wśród dzwonek grafik i opcji
gotowi do wymiany
na najnowszy model

Wernyhora

Czekał na mnie kilka dni.
Kiedy przyszedłem do Wernyhory,
podniósł już nie głowę, a łeb.
Poprawił poły znoszonego płaszcza, nie purpury.
Pokręcił się już nie w siodle, a na stołku.
Pokręcił i zrobił pod siebie.
- Co, dziadek? O której was córca przywieźli?
Patrz, mam fajki. Chcesz? To kup.
Ja ci fajki, ty mnie róg.
Rozumiem, transakcja wiązana.
Sznur to ważny element ludzkich poczynąń.
Co, ścierpło ci dupsko od siedzenia?
Policzyłem wszystkie dziury w jego płaszczu.
Sporo ich, bo żyje ponad normę.
Gdyby skończył o dekadę wstecz,
płaszcz to byłby prawie jak nowy.
Tyle deszczy zdążyło go zsiec,
wypalały słońca-podkowowy.
- Co, dziadek? Zima idzie, co? Córca odbierze?
Patrz, opłatek przyniosłem. Bierz.
Takiś jest pół-człowiek, pół-zwierz,
a jam jest cham i „miał-być-poetą”.
Zamienię słówko z „miał-być-profetą”
i spadam dalej w życie, o! w najlepszej wierze.



ANNA NOGAJ

SPOTKANIE Z NIM

Obserwuję go dosyć długo, właściwie to nawet nie wiem, odkąd tutaj jestem. Czas płynie gdzieś obok mnie, poza mną i przeze mnie. Faluje spokojnym płomieniem świecy albo drży w jej niespokojnym oddechu, a ja i tak nie czuję jego upływu. Za oknem przesuwają się wełniane czapki, kapelusze, uniesione do góry kołnierze. Sapia zatrzymujące się autobusy, wysypują co chwila garstkę ludzi, którzy rozbiegają się w różne strony miasta. Czasem ktoś potrze dłońią zaparowaną szybę kawiarni i zajrzy do środka. Tych ciekawych spojrzeń odbija się w niej coraz więcej, ale to, co na zewnątrz, to, co zwykle śledziłam z wielkim zainteresowaniem, aby przekuć później swoje spostrzeżenia w barwną metaforę, dzisiaj już po chwili przestaje mnie interesować. Moją uwagę w zupełności pochłoniął człowiek siedzący przy oknie w nieprzerwanym milczeniu. Zjawił się tu nie wiadomo skąd i po co. Bo nic nie zamówił ani z nikim nie rozmawia. Właściwie oprócz niego, mnie i jednej osoby, siedzącej w kącie lokalu z nosem ukrytym za płachtą olbrzymiej gazety, nie ma nikogo. Tę senną atmosferę dopełnia cicha, smutna melodia, sącząca się z głośników, drży w uszach, wprawia w stan odrętwienia. Czasem tylko kelner przesunie się koło mnie pospiesznie, czasem rozlegnie się śmiech spazmatyczny, jakby niewprawne ręce biły w fortepian. A człowiek pod oknem trwa dalej w cichym skupieniu. Wyjęłam z kieszeni płaszczu mój nieodstępny stary notes i próbuję zapisać to, co w tym momencie czuję. Ale nie mogę nakreślić nawet słowa, wyrywam kartkę i mnę ze złością, aż wewnątrz dłoni zaczyna wzbierać ciepłem. Nie wiem, co mam dalej ze sobą zrobić, jak się zachować. Może teraz, jak głośniejsz postawię szklankę na blacie, może jak krzyknę przepraszam pana, może... Nie! najlepiej będzie, jak jeszcze poczekam, popatrzę. Jest w tym patrzeniu jakaś tajemnicza siła, przyciąganie. Na twarzy tego człowieka oprócz skupienia maluje się coś jeszcze, coś

jeszcze... Siedzi jak odlany z brązu bożek, jak manekin jakiś. Nic, tylko patrzy i patrzy. A wzrok ma daleki, zabłąkany na obcych ścieżkach, dla mnie niedostępnych. Co w tym wzroku może się odbijać? Może zrywają się w jego oczach ptaki do lotu, drżą krople rosy na łąkach, ktoś wyciąga rękę na pożegnanie. A może lśniące włosy dziecka jak żytnie powrosła i zanurzona w nich kobieca ręka. A najpewniej jest w nich odjeżdżający pociąg i gasnące światła czy... O, poruszył się, poruszył wargami. Uniósł jedną rękę i powoli opuszcza na blat, powoli, z wielkim namaszczeniem. Opuszcza i podnosi; a wszystko to dzieje się jakby we śnie, w zwolnionym tempie. Nawet już nie jestem pewna, czy to się dzieje. Znow uniósł dłoń i delikatnie opuszcza w dół. Zawahał się na chwilę, położył palce na blacie. Rozprostował je i dociska, jakby chciał przeniknąć drewnianą powierzchnię stolika, a na jego twarz wstąpił ledwie dostrzegalny grymas. Chcę mu jakoś pomóc, ale nie mogę. Nie mogę się ruszyć, może to jego wina, może moja. Udziela mi się to milczenie i ten dziwny, raz tchnący spokojem, innym razem bólem nastrój. Czuję, że mam mokre policzki. Niemożliwe. Co mnie z nim może łączyć, że tak mocno go odczuwam i jego obecność tak strasznie niepokoi. Serce przyśpiesza, bije gwałtownie, coraz szybciej. Jeśli on zaraz nie wyjdzie, nie zrobi czegoś, nie wiem... nie powie choć słowa, zwariuję. O Boże! Szukałam tej chwili i chyba znalazłam. Targają mną różne emocje. Teraz znowu wstępuje we mnie powoli spokój i ukojenie. Coś zaczynam rozumieć, przeczuwać, tylko nie mogę nadażyć nad kołującymi się w głowie myślami. A jego ręka opada, wciąż opada, a w tym opadaniu jest bezmiar cierpienia, żalu, obojętności. A może jest jeszcze oczekiwanie, tak, musi być oczekiwanie. Poznaje, że tak jest, po tych chwilowych zawahaniach, zamyśleniach. Rytmiczne uderzanie dłoni o blat, walenie serca słyszę tylko tyle. Nic więcej. Ktoś mi podaje chustkę i pyta - czemu płaczesz?,

teraz dopiero zdaję sobie sprawę z tego, co się ze mną dzieje. Ale jest mi dobrze, bardzo dobrze. Coś we mnie pękło, coś się otworzyło. Uczucie, za którym tęskniłam, powoli rozplywa się po ciele, oczyszcza. Przeciągam mokrą dłońią po twarzy i znów wpatruję się w obcego, nie mogę przestać. A w tym opuszczaniu ręki znajduję coraz więcej tak jakby ta dłoń kładła się na moim czole, jakby tuliła, jakby... Kim jesteś?, kim jesteś? myślę, bo nawet nie mam siły, aby cokolwiek głośniej powiedzieć. Zaciskam palce na blacie do białości. Tak jak wtedy, gdy byłam dzieckiem i z wielkim strachem klęczałam po raz pierwszy przy konfesonale. Zaciskałam palce na drewnianej półeczce tak bardzo mocno, jakbym chciała wszystkie grzechy z siebie wycisnąć. Teraz w tym zaciskaniu nie ma już strachu, ale jest oczekiwanie. Wzbiera we mnie wielka radość i ból zarazem. Czuje, jak się go pozbywam. A może nie pozbywam, ale się go uczę. Tak, uczę się bólu. Pierwszy raz od dawna dotykam naprawdę. Drżącą dłońią, niechcący, popchnęłam mosiężny świecznik. Rozgrzany воск parzy mi palce. Nie wzbraniam się jednak przed gorącym żółtej stróżki wzbierającej na mojej dłoni. Patrzę, jak rozplywa się po skórze, rozgałęzia, szukając najlepszej drogi, aby w końcu zastygnąć w różnych formach, zgasnąć. Palcami drugiej ręki dotykam lepkiego wosku i powoli ugniatam, mocniej, coraz mocniej, aby czuć w sobie moc tworzenia. Moc ciepła. Wpatruję się w płonący niespokojnie płomień świecy i chłonę to światło, przenikam je. Właśnie te dwie niby prozaiczne czynności napędzają mnie przedziwną treścią, taką bardzo realną. Po chwili wyrywam się z zamyślenia, gdy jakiś nieźle już zalany facet odsunął z łomotem krzesło, usiadł na-przeciwko i trzasnął olbrzymią łapą w kolano zanosząc się dzikim chichotem, przechodzącym powoli w bełkotliwą piosenkę. Nie mogę zrozumieć ani jednego słowa, co sprawia, że denerwuję się jeszcze bardziej. Nie mogę go słuchać, nie chcę! Usiłuję się podnieść, odkleić od rzeczywistości tego człowieka, która jak lepki mackami przykleja się do twarzy i powoli

obejmuje całe ciało. Od słów wciskających się do uszu dźwiękiem uciążliwych, rzęgających grzechotek. A to moje wstawanie trwa całą wieczność. Na ciężkich jak z ołowiu nogach idę jednak przed siebie i słaniając się raz na lewą raz na prawą stronę zahaczam o różne sprzęty. Za dotykiem omdlejącej dłoni osuwa się obrus i tłucze parę szklanek, kieliszków. Z wywróconej lampy osunął się czerwony abażur odsłaniając nagość rzeźbionego chłopczyka, jego zawstyżenie. Zadzźwięczało mi w uszach, a potem wszystko nagle ucichło. Znów ta cisza, ta cholerna cisza! Gęstnieje, zatyka uszy, płacze nogi. Krok po kroku zbliżam się do człowieka pod oknem, krok po kroku, krok... Pragnę jednego. Przejrzeć się w jego oczach, przejrzeć się w swoich oczach. Jak to jest, móc siebie widzieć, jak to jest, oglądać swoją twarz, każdy grymas, uśmiech układanie warg do wypowiedzenia słowa. Ale jak do niego dojść. Słabnę



coraz bardziej, a jeszcze zaludniło się strasznie w tej małej kawiarence. Nadęte matrony przepychają się łokciami, pyzate dzieci krążą jak widma, szturchając mnie co chwila, ktoś nawet szarpnął mnie za ramię. Skąd ci ludzie, czemu mi tak strasznie duszno. Z trudem przepycham się przez tłum skłębionych ciał i czuję pulsującą w arteriach żył krew, krople potu na skroniach. I to głupie uczucie, że nikt mnie nie widzi, to lekceważenie. Jeszcze jeden krok, ten jeden jedyny krok i... Widzę! Ogromne szkliste oczy przypróśzone tajemnicą, jak mieniące się w słońcu lustra wody, jak błyszczące misy odbijające promienie światła. Wygląda, jakby płakał, ale nie. Bo te oczy, te ogromne oczy były jak wyschłe studnie łaknące wody, jak trawy pożółkłe spalone lipcowym słońcem. Takie znajome mi oczy. To ja tam jestem. Ja jestem... Uwięziona w tych oczach, tak bliska ale i daleka. Zobaczyłam w nich drogę zasypaną śniegiem, nieprzejezdną. To był ten las, ciemny mruczący las. Szłam krok za krokiem i oglądałam się za siebie. Buty z trudem odrywały się od podłoża, a ogromne płaty śniegu chłodem wciskały się do oczu. Padalo i padalo, że już świata nie było widać. Roztańczone konary drzew skrzypiały złowieszczo, zdawało się, że połamią się za chwilę jak zapalki. Tylko te twarze, pojawiały się gdzieś blisko mnie, te znajome twarze, i znikwały za chwilę. Niemal ocierałam się o nie. Zdawało mi się, że czuję na szyi ciepły oddech, a potem ta przeraźliwa pustka. Przecież szli za mną, gdzie oni są... Zabłądziłam na dobre. Każdy podmuch wiatru rozwiewał zarysy postaci, zasypywał śniegiem. Potem jeszcze muśnięcia palców na moich rękach. Tak bardzo chciałam je przytrzymać, spleść z moimi, ale za chwilę w dłoni zostawało tylko powietrze. Ostre powietrze, które jak ostrze brzytwy smagało po twarzy. Stałam, rozejrzałam się dookoła i... Mam ochotę wyciągnąć rękę i pogłaskać tę drugą siebie po włosach, poklepać po ramieniu, przytulić. Ale nie robię nic. Stoję i patrzę. Cała tym patrzeniem jestem. Ten człowiek w ogóle mnie nie zauważa, nie widzi. Uderza swoją dużą dłoń o blat, jeszcze wolniej. Nagle przestał. Podparł ręką brodę i odwrócił się w zamyśleniu w stronę okna. Teraz

już wszystko wiem, rozumiem, tylko czy starczy siły, aby temu podołać? Czuję, że muszę iść, bieć, byle dalej stąd, byle szybciej. Grube płaty śniegu kładą się na czole, skleją rzęsy. Unoszę garstkę białego puchu i przykładam do twarzy. To przejmujące, wspaniałe zimno niesamowite. Nie wiedziałam, że tak może pachnieć śnieg, że tak może pachnieć szczęście. Po chwili zamyślenia zaczynam iść przed siebie, a raczej nogi same niosą w nieznanym kierunku. Idę wciąż szybciej i szybciej, odgarniając łańcuchy świateł, które rozrzuciły po mieście latarnie. Przydeptuję stopami światło miesiąca prowadzące wśród gęstniejącego mroku. Ściemniło się już na dobre, a śnieg sięga kolan i z trudem mogę stawiać kolejne kroki. Zaczynam bieć. Uciekam od przeraźliwego jęku skrzypiących huśtawek, zatykam uszy, a pisk staje się nie do zniesienia. Uciekam od dziecka z załzawionymi oczami, samotnie taplającego patykiem w błocie. Od szumu drzew falujących nerwowym łopotem skrzydeł spłoszonych ptaków i od bijących po twarzy gałęzi. Uciekam. Zmęczenie okazało się jednak silniejsze. Zatrzymuję się pod najbliższym drzewem i przytulam czoło do spękanej kory. Jestem gdzieś nad rzeką, w ogóle nie znam tego miejsca. Wiem tylko, że ktoś mnie szuka, że muszę gdzieś iść. Z trudem otwieram oczy i zauważam na drugim brzegu majaczący zarys jakiejś postaci. Ktoś gorączkowo kiwa do mnie ręką. Oglądam się w drugą stronę. Tutaj z kolei zza drzewa wygląda przerażona twarz, łypiąc błyszczącymi oczyma. Zamykam powieki i coraz mocniej zatykam uszy. Znowu zbliża się ten straszny szum, niepokój. Urywane głosy, szepty, szloch jakiś i te przeraźliwe łańcuchy huśtawek rozrywają ciszę. W górze unoszą się podarte gazety, pod nogami kupa śmieci, tekturowych pudeł. Mam ochotę położyć się pod jednym z nich i zasnąć na chwilę. Odpocząć. Ale wiem, że nie mogę teraz zasnąć bo stracę zapach śniegu, ciepło człowieka... Siebie stracę. A dziś poczułam że jestem, że mogę wszystko zacząć od nowa.

Znowu mnie woła. Teraz wszystkie szmery i krzyki zamilkły. Zapadła głucha cisza, ale ona nie boli. Delektuję się nią, wciągam wraz z powietrzem w płuca, spokojnie

oddycham. Mam świadomość, że znalazłam się przed wielkim wyborem, ważną chwilą mojego życia. Czuję na sobie spojrzenia zza drzew, za skrzynek i z każdego miejsca ktoś na mnie patrzy. Czekają, co zrobię, jak się zachowam. Stoję na jakiejś granicy absurdu, gdzie zderza się czas i przestrzeń, gdzie jestem i mnie nie ma. Uwieczona między niemocą a pragnieniem. Strachem a nadzieją.

Jak przejść tę cholerną rzekę, jak się do niego dostać. A czuję, że muszę uchwycić tę daleką dłoń, ucześcić się jej i dać poprowadzić. Patrzę i patrzę, i czuję wzrastające ciepło, wielką miłość i coś, czego nie umiem zamknąć w słowach. Ścisnięte gardło, w głowie kotłują się myśli, jak je wyrazić, jak się wypowiedzieć. Nagle, ciężkie kłębiaste chmury przetoczyły się ospale po niebie, odsłaniając księżyc, zrobiło się zdecydowanie jaśniej. Z twarzy czekającego osunęła się gęsta zasłona cienia. Niemożliwe. To chyba ten człowiek z kawiarni, ten sam przecież. I nie wiem, czemu z tej wielkiej, tłamszącej się we mnie od lat ciszy, tego milczenia znaczącego ostrymi skazami moją twarz, zamykającego dłonie w kułak, wyrwało się trzykrotnie jestem, jestem, jeestemmm!!!

On również krzyknął Daj mi rękę, tylko daj mi rękę. Przysiadam zdziwiona na stopach i nasłuchuję. Ty do mnie mówisz? Powtórz to proszę, powtórz, powtórz!!! Łowię każde jego słowo, napełniam się rozplywającym wokół dźwiękiem, który gaśnie i powraca z echem, aby w końcu zamilknąć na dobre. Niemożliwe... Ty naprawdę do mnie mówisz! Powoli wstaję i patrzę z ciekawością w lustro wody. Widzę swoje odbicie, lekko faluje, ale jest bardzo wyraźne. Zanurzam jedną rękę w granatowej toni i zaczynam macić mój obraz, mieszam ze sobą gwiazdy, które teraz rozciągają się po lśniącej tafli w świetliste rozedrgane wstęgi. Płaczę gałązki drzew i szeleszczę suchymi liśćmi. Nie mogę patrzeć teraz w swoje oczy, nie teraz. Mieszam coraz gwałtowniej, aż do momentu, gdy wszystko zlewa się w jedną całość i tańczy pod moimi stopami. Muszę stać się częścią tego krajobrazu, odbiciem tych oczu, które gdzieś tam, na drugiej stronie, patrzą i przenikają mnie do końca. Stawiam pierwszy nieśmiały krok. Woda taka zimna.





Z. MAREK PIECHOCKI

Jedna szklaneczka piwa
(mi, niezwyčajnemu alkoholu)
nadaje myślom bieg szybszy
i wyrazy jeden za drugim
układają się w myślach

Nawet nadzieja nadziei
jakby bliższa
i sfory myśli złych
które od paru dni oblegają
jakby mniej ujadają

A przecież tak się starałem
w te dni ostatnie
zmysłom dostarczać piękna
które koić powinno

A przecież nie ...



JOANNA SKÓLIMOWSKA

INNA*

Ciemnowłosa dziewczyna siedziała przytulona do szyby. Własne myśli starała się zagłuszyć muzyką. Z każdym dniem bardziej i bardziej zatracala się w swoim własnym świecie, który stworzyło jej serce, choć ten jeden raz zgodne z rozumem. Tego dnia czuła się wyjątkowo źle. Zrozumiała, że utknęła w nierealnych marzeniach, zgubiła sens.

Wyszła na balkon. Niebo było pełne gwiazd, wiał zimny wiatr. Ludzie przechodzący ulicą, przy której mieszkała, pośpiesznie mijali jej dom. Najgorsze były pary zakochanych trzymające się za ręce, przytulające, rozmawiające z przejęciem. Dlaczego jej nie było dane odnalezienie tej drugiej połówki, przeżycie wspaniałych chwil? tego nie mogła zrozumieć. Przez te piętnaście lat swojego życia niewiele szczęścia zaznała. Rodzice widzieli w niej tylko problem, to przez nią musieli jeździć po klinikach, wydawać pieniądze na operacje, lekarzy. Instynktownie czuła, jak gdyby to właśnie ją obwiniali o to, że urodziła się z wadą stopy. Dręczyła się, bo przecież nie miała na to wpływu nikt nie miał. Usilnie próbowała być „normalną”, cieszyć się życiem.

Spojrzała w niebo... Gwiazdy migotały przyjaźnie. Gdzieś tam pośród nich był jej dziadek, od tylu lat czuwający nad nią. W jednej sekundzie wróciły wszystkie wspomnienia ich wspólnych dni. Przypomniała sobie, jak trzymając w silnych ramionach małą dziewczynkę, szeptał jej do ucha „Blanka, kochanie. Jesteś moim małym, ślicznym aniołkiem”. Nigdy nie zapomni, jaka była szczęśliwa, kiedy dziadzio podrzucał ją do góry, kiedy grali w berka, pracowali w ogrodzie. Każda godzina spędzona z nim emanowała beztroską. A potem... przed oczami tylko ten beznadziejny szpital, najwspanialsza osoba leżąca pośród bieli. W pierwszym momencie nie poznała go. Kolor cery niewiele różnił się od pościeli, wyraźnie schudł, twarz pokryła się zmarszczkami.

Przed wszystkim jednak brakowało uśmiechu na ustach, iskerek w oczach. Zmartwiona przytuliła się najmocniej, jak tylko umiała. Kilka dni później rodzice powiedzieli jej, że było to ich ostatnie spotkanie. Przeplakała całą noc. Rano nie potrafiła wydobyć z siebie głosu, straciła apetyt. Toczyła bitwę z samą sobą, ze swoimi, zbyt poważnymi jak na ośmiolatkę, myślami.



Anna Kowalczyk

Bezustannie zadawała sobie pytanie dlaczego to właśnie ją spotyka tak wiele cierpienia, czym sobie zasłużyła? Jednak jedynym wnioskiem, do jakiego udało jej się wtedy dojść był fakt, iż wszystko się zmieni. Teraz wiedziała już, że miała rację. Została na tym świecie sama, mogła liczyć tylko na siebie. Niekiedy spotykała się z siostrą cioteczną, lecz i to nie dawało zbyt

* Wyróżnienie w 1 edycji turnieju literackiego Chichot Chimery (2007).



📷 Anna Kowalczyk

wiele szczęścia, nie wpływało znacząco na szarą codzienność.

W pewnej chwili poczuła nieodpartą chęć skoku.

- Może to przyniosłoby ulgę - myślała - Tak bardzo chciałabym znów być przy dziadku, móc się do niego przytulić, wsłuchać się w jego ciepły głos.

Zawahała się. Pierwsze piętro to stanowczo za nisko. Wątpiła, by przyniosło to radykalne rozwiązanie. Prawdopodobnie połamałaby się tylko. A jak spojrzeć później „bliskim” w oczy? Jak pokazałaby się w szkole? Nie! Za nic nie mogła tego zrobić. Wzrok wystarczającej liczby osób czuła na sobie, kiedy przechodziła korytarzem.

Nie była wyjątkowo piękna. Mimo to podobała się chłopakom. Mistrzostwo w ukrywaniu swojej inności osiągnęła już dawno temu. Tylko nieliczni wiedzieli o jej problemach z nogą, o tym, że jedna jest chudsza a druga grubsza. Niestety, zainteresowanie ze

strony kolegów po pewnym czasie prze-rodziło się w fatum. Ona niedostępna, czekała na księcia z bajki. Oni zbyt dumni, by pogodzić się z porażką. Ranili ją bardziej niż obojętność ze strony rodziców. Za słaba, aby zlekceważyć obelgi, złośliwości biegła do łazienki i przeplakiwała całą lekcję. Nauczyciele tolerowali to, gdyż domyślali się, jak trudno jest być innym. Niektórzy uczniowie mieli tyle odwagi, że bezceremonialnie krzyczeli za nią „insza”.

Z mocno bijącym sercem zeszła z balustrady i kucnęła w kącie. Łzy ciągle spływały po jej policzkach. Nie zauważyła nawet, że muzyka w mp3 przestała grać. Siedziała wtulona pomiędzy ścianą a barierkę, zagrożona w rozmyślaniach. Nagle poczuła wibrację. To telefon tkwiący w kieszeni przetartych jeansów. Nie mogła w to uwierzyć. Do tej pory właściwie nigdy nikt o niej nie pamiętał. Odblokowała klawiaturę i zobaczyła na ekranie „Masz jedną nową wiadomość od - nieznany numer”.

Treść zaskoczyła ją jeszcze bardziej. „Bóg nigdy nie daje nam krzyża ponad nasze siły”.

Bóg. Kiedy ostatni raz o Nim pomyślała, pomodliła się, poszła do kościoła? Dawno temu, bardzo dawno temu.

*

Przypomniła sobie sytuację, kiedy jej wiara odeszła tak naprawdę. Kilka miesięcy przed owym zdarzeniem poznała przez internet Laure, swoją rówieśnicę. Znajdowały się w podobnych sytuacjach życiowych - samotne pośród ludzi, nieakceptowane przez najbliższych, zagubione, zleknione, lecz mimo to pragnące żyć. Rozmawiały prawie codziennie, pisały o wszystkim, śmiejąc się do monitora, płacząc w klawiaturę. Po pewnym czasie nie wyobrażały sobie życie bez siebie. Pomimo odległości, która je dzieliła doskonale się rozumiały, wyczuwały gdy z drugą działo się coś nie tak. Jednak pewnego dnia czar prysł! Nie pamiętała już nawet, jak to się stało, co było powodem ich kłótni. Zapewne jakaś błahostka, która w normalnych okolicznościach już po chwili odeszłaby w niepamięć. Niestety, wtedy ułożyło się inaczej. Przyjaciółki tęskniły za wspólnymi godzinami spędzonymi na czacie, lecz zachowywały

milczenie. Cechował je upór, każda czekała na wyciągniętą w jej stronę dłoń. W końcu Blanka pękła. Napisała krótką wiadomość: „Najsmutniejsze jest zapomnienie. Nie każdy ma przyjaciela”. Była pewna, że przyjaciółka zrozumie przekaz. Tamtego wieczora położyła się do łóżka dużo lepsza udało jej się pozbyć tego okropnego poczucia winy, samotności. Widziała, że kiedy nazajutrz wejdzie w skrzynkę, zobaczy tam pojednawczego e-maila od Laury. Nie mogła jednakże spać spokojnie. Kilkakrotnie budziła się w nocy, złana potem, ze łzami w oczach. Jakiś wewnętrzny głos mówił jej, że nadchodzą złe chwile. Nie mogła jednak nic zrobić. Jej głowa spoczęła na poduszce, lecz oczy tej nocy już się nie zamknęły. Rano, gdy tylko usłyszała, że rodzice wstali zbiegła po schodach do kuchni. Nawet nie zauważyli, że weszła. Wyczuwało się jednak dziwne napięcie panujące w pomieszczeniu.

- O co znowu chodzi? - zastanawiała się. Na odpowiedź nie musiała czekać długo.
- Blanka, możesz mamie powiedzieć, o której wczoraj wyłączyłaś komputer? - grzmiał wyraźnie pod denerwowany ojciec.
- Pewnie, że mogę. Koło 23, a bo co? - odpowiedziała zaczepnie.
- Widzisz?! Widzisz w jaki sposób ona mi odpowiada!?
- Ale Maciek, spokojnie! Przecież nie o tym mieliśmy rozmawiać - starała się uspokoić mama.
- Nie o tym, nie o tym! To taki sam problem jak i jej nałóg! Nawet nie wiesz co tam się dzieje!! Pełno zboczeńców, sekt. Założę się, że ona już do jakiejś należy! To dziecko nie ma dla mnie żadnego szacunku! Nie będę tego tolerował!
- Nie należę do żadnej sekty! Uspokój się! Za kogo ty mnie masz?! - Blance puściły nerwy. Nie znosiła, kiedy ktoś oskarżał ją o coś, czego nigdy nie robiła.
- Blanka! jak ty się odzywasz do ojca!? - matka wkroczyła akcji.
- Nie! Tego już za wiele! - rozłościł się na dobre ojciec.
- Pff. I co mi zrobisz? Uderzysz mnie?! Wybacz, ale nie boję się ciebie. Już nie!
- Masz rację! Już się mnie nie boisz! Ale chyba mam już dla ciebie doskonałą karę. Zero komputera! Wywożę go do dziadków, na wieś. Skończyły się zarwane noce. Może w

końcu weźmiesz się za naukę!

Tego się nie spodziewała. Komputer... Akurat teraz, kiedy była pewna, że z Laurą znów będzie jak kiedyś. Z płaczem uciekła na swoje poddasze zamykając drzwi na klucz. Czemu tak na niego naskoczyła?! Przecież wiele razy wpuszczała jednym uchem, a wypuszczała drugim, kiedy miał do niej pretensje... Po chwili jednak żał do samej siebie przerodził się w żal do Boga. Nie mogła zrozumieć czym sobie zaślubiła na taką rodzinę? Zawsze starała się trzymać z daleka od papierosów, piwa. Zawsze też dostawało jej się za każdą drobnostkę. Jaka w tym jest sprawiedliwość? Inne dziełczyńy są przytulane przez mamę, mogą z nią zawsze porozmawiać, a ona.. Zdana jest sama na siebie. Postanowiła napisać do Laury sms-a gdy nagle zorientowała się, że telefon został w kuchni.

- No pięknie. To teraz i z nim mogę się pożegnać - załamała się całkowicie.

*

Od tamtej pory minęło już prawie pół roku. Kontakt z przyjaciółką został zerwany. Choć komórka wróciła do właścicielki, na niewiele się to zdało. Laura zmieniła numer. Na dodatek Blanka nie miała pieniędzy na kafejkę. Za dużo milczenia wkradło się między nie. Rana bolała nadal. Jak zrozumieć głupie serce, które nie chce zapomnieć? Jak wybaczyć Bogu, że właśnie tak pokierował jej życiem? Nie umiała. Nie chciała. A teraz ta dziwna wiadomość. Kto mógł ją wysłać? Dlaczego? Zastanawiała się czy i co ma odpisać. Spojrzała na półkę ze swoimi ulubionymi książkami. Wzrok zatrzymał się akurat na *Małym księciu*. Przypomniała sobie te przepiękne cytaty, mocno wryte w jej głowie. Jeden pasował doskonale... „Kraina łez jest taka tajemnicza”. Jej palce szybko uwijały się po przyciskach, a później bez większego namysłu kliknęły „wyslij”. Zżerała ją ciekawość, co odpisze jej tajemniczy nieznajomy i czy w ogóle dowie się, kim on jest.





NESTOW SAKACZBIA

Śmiecionośny

Urodziny Mamy minęły po hasłem:
 "śmieci". Śmieci
 na które się zablokowałem, gdy staliśmy
 pod chatą ciotki.
 Ja i Ojciec. Ja i test. Ja i te cholerne
 podrzucanie
 śmieci. Już nie ma podjeżdżania
 pod śmietniki. Jest obawa
 Ojca, że ktoś zobaczy. Spisze
 numery i będzie
 kłopot. Nie wyrzuciłem. A później
 jak łatwo można się spodziewać, smród
 mojej odmowy ciągnął się
 za Ojcem aż do Łapalic. W Łapalicach
 Mama urodzinowa. W Łapalicach
 Ojciec prowokujący. I dałem się wciągnąć.
 Spektakl: "rodzinne piekielko czas zacząć".
 Ciocia na widowni
 wciągnięta do akcji na zasadzie: "ciocia
 mówi
 jak to widzi". Fantazyjny prezent
 urodzinowy za jedyne dwa worki
 śmieci. A wszystko mogło być zupełnie
 inaczej, jak to powiedział Ojciec, gdybym
 tylko chwycił
 za te cholerne śmieci. Takie gdybanie
 to żadna nowość. Takie gdybanie to jedno z
 imion Ojca.
 A na koniec nagły mój ból brzucha.
 Tak więc super. Nic
 tylko wymarzyć sobie
 takie urodziny. Gdy podrzuca się śmieci
 cztery lata, to już nawyk, z którym ciężko
 walczyć.
 Takie podrzucanie. Takie sobie.

Knajpa „pod Świadomością”

„Czy trzeba być świętym, by święcić?
 Więc poświęć tu chwilę
 I zostań
 Bo dzieci nie płaczą ze szczęścia
 Dzieci płaczą ze starości”*

Zostałem. Przybiłem
 A gwoździ w tym stole nie zliczysz
 To stara tradycja, tak "zostać i przybić"
 To spadek z pradziada
 Na dziada i ojca, a z ojca na syna
 A synem opowieść
 Spłodzona z przypadkiem. Zostałem
 Dlaczego? Iść mogłem
 Gdzie matka? Dość tego!
 Polewaj. Zostaje
 A drogę niech znaczą

* Podszepty



GRZEGORZ ŻAK

MONOPOL

Trzask! Solidna brama otworzyła się na chwilę wystarczającą na wtoczenie się do wnętrza wozu zaprzężonego w dwa brunatne woły zbożowe. Trzask! Zamknięcie bramy zrównało się w czasie z otoczeniem wozu przez uzbrojonych strażników.

- Nażwisko! – krasnolud, najwidoczniej dowódca straży, miał trudną do zdefiniowania, ale łatwą do wykrycia wadę wymowy.
- Przecież mnie znasz, Rudi – hobbit na wozie nosił zgrzebne, płócienne portki i takąż koszulę. W rękę miał bat.
- Ta jest, znam cię, ale przepis jest przepis – Rudi nachylił się do kudłatego hobbickiego ucha – trza pozór zachować, koty na wachcie, chwitasz?

Niziołek westchnął :

- Chwytam, co mam nie chwytać.
- No to nażwisko! – ponaglił dowódca straży.
- Din Szamrokhopper.
- Co wieżecie?
- Pyry, jak zwykle...
- Nie żagając, jeno odpowiadać! Pyry, dobrze. W czelu?
- W celu... Pędzenia wody, wiadomo, a w jakimże...?
- Ech, Din, miałesz odpowiedzieć: w czelu wspomżenia przemysłu monopolowego, czy jakosż tak.
- Daj spokój Rudi, jak Koola kocham.
- Dobra – krasnolud znów nachylił się do ucha woźnicy – nie podważaj mi autorytetu Din, koty na wachcie. Dobra – podniósł głos – wjeżdżacz. Hala numer dwadzieścia trzy, fioletowe wrota, prosto, potem w lewo i w prawo...
- Wiem, wiem.

Wóz powoli wtaczał się do wnętrza twierdzy. Twierdzy wyjątkowej pod każdym względem – jedynej kamiennej fortecy w Ponurej Puszczy, dla której budowy kamień sprowadzano z odległych Gór Istniejących, płacąc za to fortunę. Graf Kociłokieć, właściciel twierdzy, mógł sobie na to pozwolić. Mógł pozwolić sobie na prawie wszystko. Jego forteca zwała się Pormoss. Produkowano tu najpopular-

niejszy trunek w Sargalu – słynną Ponuropuszczańską Żywicę.

Załadowana ziemniakami fura Dina Szamrokhoppera nie skręciła w lewo i w prawo. Przeciwnie – najpierw w prawo, a potem w lewo, w ciemny zaułek za rampą przeładunkową oddziału lepienia gąsior-ków. Nikt nie zauważył, jak hobbit rozrzuca ziemniaki na ziemi i bierze do ręki drewnianą, powyginaną różdżkę, wcześniej ukrytą na dnie wozu. Oprócz niej pod ziemniakami leżały miecze, topory, noże i inne narzędzia nie nadające się raczej do obierania ziemniaków, chyba, że bardzo z grubsza. Din Szamrokhopper wyciągnął też blaszaną konewkę. Podskakiwał dziwnie, podlewając ziemniaki, szepcząc coś i dotykając je laską. Powietrze nabrzmiało dziwną mocą – stało się jakby



Miroslaw Koczkodaj

bardzo żyzne, jak pole pełne wilgotnego nawozu. Ziemniaki zaczęły kiełkować...

Graf Kociłokieć pomyślał, że warto by umieścić na reklamowych plakatach ostrzeżenie, iż Ponuropuszczańska Żywica pali żywym ogniem na wątrobie, a palenie powoduje raka i choroby serca. Kociłokieć wiedział, że takie notki wbrew pozorom zachęcają – na zasadzie kontry i chęci doświadczalnego sprawdzenia „co to znowu za kłamstwa w reklamie”. Graf znał się na marketingu i zawsze sam nadzorował kampanie reklamowe. Łyknął soku z malin. Alkoholu generalnie nie pijał, za wyjątkiem okazjonalnych kontroli jakości.

*

Trzask! Brama otworzyła się na chwilę, wpuszczając wóz zaprzężony w dwa brunatne woły zbożowe. Na wozie, pełnym dorodnych ziemniaków, siedział ubrany w płócienne łachy niziołek i uśmiechał się:

– Witaj Rudi, pyrów wam przywiozłem.

– Nażwisko... – wpół wykrzyknął, wpół wyszeptał dowódca straży – Din Szamrokhopper!

– Jam ci jest! To jak, tam gdzie zawsze?

Krasnolud i cała obsada wachty przypominała w tym momencie „Grupę Laokonia”. Albo inną grupę wyrzeźbioną w marmurze.

– Co tak stoita, pyrów nie widzieli? Na wodę przywiozłem. Rudi, to ja!

– Din, co ty tu robisz?

– Ile razy będę powtarzał. Pyry. W celu wspomnienia pomysłu monopolowego czy coś. No jak, dobrze pamiętałem? Ma się tą pamięć, a?

– Din, ty już tu dzisiaj raz wjeżdżałeś, przecież widziałem...

– Rudi, byłeś na produkcyjnej i się nawdychałeś, czy co?

– Ale... Zatrzymać go. Malmo leć do Czubba. Powiedz, że dzieje się coś dziwnego. Cichy alarm – Rudi Huczmyłot odzyskał zdolność myślenia, choć na to nie wyglądał – cały czas gapił się szeroko otwartymi oczami na Dina Szamrokhoppera. Drugiego już dzisiaj. Ten, jakby w rewanżu, gapił się równie mocno otwartymi oczyma na dowódcę straży.

– Co się dzieje ...?

Z ciemnego zaułka za rampą przeładunkową oddziału lepienia gąsiorków wybiegła armia uzbrojonych stworzeń. Stworzeń przypominających górskie trolle – potężne brązowe monstra, wymachujące bronią trzymaną w białych ramionach. Na ich czele pędziła niewysoka kobieta z drewnianą, powyginaną laską w jednej i z konewką w drugiej ręce. – Niszczyć! – krzyknęła – Niszczyć wszystko!

*

Graf Kociłokieć spojrzał za okno. W jego zakładzie był ruch. „Dobrze” – pomyślał – „Ruch w interesie to ważna rzecz”.

W twierdzy Pormoss zatrudniono najlepszych fachowców w każdej potrzebnej branży. Także w ochronie. Reakcja straży, mimo zaskoczenia, była błyskawiczna. W mgnieniu oka naprzeciw brunatnym stworzeniom wybiegli elfi łucznicy, krasnoludscy topornicy, krzemienne trolle i ponuropuszczańscy chłopi z wielkimi mieczami, zaprawieni w utrzymywaniu się przy życiu w najsurowszych warunkach. Świsnęły cięciwy i ciała napastników pokryły się strzałami.

Równie dobrze mogli strzelać do ziemniaków. Potwory nie wytraciły nawet pędu, wpadły na pormossańską straż z impetem. Szczęknęła broń. Trysnęła bezbarwna posoka. – Bigoszować! – ryknął Rudi Huczmyłot i wzniosł topór do cięcia. Podobno później wykorzystano ciała potworów do produkcji specjalnej, limitowanej serii Ponuropuszczańskiej Żywicy z dopiskiem „Potwornie smaczna – na bazie prawdziwie monstualnych składników”. Ale póki co, nikt o tym nie myślał. Zwłaszcza straż zajęta obroną przed niezwykle silnymi ciosami kiełkowych ramion.

Nikt nie zauważył, jak niska kobieta w płóciennych portkach i płóciennej koszuli wchodzi do głównego budynku. Na pewno nie dostrzegło jej dwóch trollowych wartowników, wpatrujących się jak zauroczeni w trzymaną w drobnej dłoni magiczną różdżkę.

*

Din Szamrokhopper nie miał dobrego widoku spod swojego wozu. Nie miał też czasu na przemyślenie, o co tu w ogóle chodzi. Wiedział jedno – jeśli coś stanie się z Pormossem, nie będzie miał komu sprzedawać pyr. A to mu się nie podobało. Postanowił działać – to, że znał fabrykę jak własną kieszeń, znacznie ułatwiało zadanie. Szybko wyczołgał się spod fury i ruszył w stronę wieży przy oddziale etykiet. Tam urzędował właściciel.

*

Graf Kociłokieć widział co się dzieje, ale nie tracił spokoju. Płacił strażnikom i pokładał w nich w związku z tym zaufanie na zasadzie „wszyscy jedziemy na tym samym wózku, ale ja powożę”. Jednak sytuacja wydawała się o tyle poważna, że wyciągnął z szafy pierścień. Złoty pierścień z wyrytą recepturą Ponuropuszcząńskiej Żywicy – tajemnicą strzeżoną przez pokolenia w rodzinie Kociłokciów. Nikt z pracowników nie znał jej w całości –

siedmiu zaufanych Pamiętaczy znało po jednym składniku, siedmiu kolejnych ich proporcje w zestawieniu. Całość recepty przechowywana była na jednym jedynym złotym pierścieniu. Graf Kociłokieć nie ufał nikomu – nawet samemu sobie, i nigdy nie nauczył się przepisu na pamięć, obawiając się, może go kiedyś nieopatrnie zdradzić. Dzięki takiemu rygorowi nikt jeszcze nie przełamał monopolu i nikt nie podrobił Ponuropuszcząńskiej Żywicy. Graf podszedł do okna i spojrzał na pierścień pod światło. „Wody źródlanej kadź, ziemniaków ziemnych sak...” – odczytał. I dostał kamieniem w głowę.

*

Din Szamrokhopper podniósł kamień, którym przed chwilą oberwał. To nie był kamień. To był złoty pierścień. „To ten pierścień!” – wykrzyknął w myślach i uniósł klejnot do światła. „Wody źródlanej kadź, ziemniaków ziemnych sak...” – przeczytał i rozejrzał się z niepokojem. Wokół latały kamienie. To nie było bezpieczne miejsce. Dwaj trollowi wartownicy zaklinali się potem,





📷 Mirosław Koczkodaj

że nie widzieli, żeby ktokolwiek wchodził albo wychodził z głównego budynku. A mała czarodziejka wychodząc trzasnęła nawet drzwiami. Nie znalazła tego, czego szukała. Skupiła się, odetchnęła głęboko. Potrzęsnęła różdżką, która po chwili zabłysła niebieskim światłem i odchyliła się wyraźnie w kierunku oddziału etykiet. Tam poszła.

Ziemniaczane stwory odkryły, że ich kielkopodobne ręce nadają się świetnie do rzucania kamieniami. To dało im chwilową przewagę – do momentu, gdy skończyły się kamienie. Potem Rudi Huczmłot poprowadził krasnoludzkich toporników i ponuropuszczańskich operatorów mieczy dwuręcznych do „sałatki”, jak w bojowym zapale nazwał tę operację.

*

Graf Kociłokieć spojrzał nieprzytomnym wzrokiem w łagodne oczy, ładną twarz z zadartym nieco nosem i zaciśnięte usta

kobiety trzymającej powyginaną nieco różdżkę.

– Witam panią w moich skromnych progach – wymamrotał.

Błysk różdżki ocucił go w jednym momencie.

– Papani w jajakiej sprawie? – zająknął się.

– Dawaj pierścień – głos kobiety był zdecydowany jak statek idący na dno.

– Piepierścień?

– Nie graj na zwłokę. Dawaj!

– Piepierścień?

– Już! – tupnięcie nie jest może zbyt dojrzałym gestem. Chyba, że towarzyszy mu błysk i grzmot.

Graf Kociłokieć złapał się za guza na czole.

– Nie mam go. Miałem. Ale nie mam. Straż!!!

– Nie wołaj straży!

– Nie mów mi co mam robić, kobieto!

Zgubiłem pierścień. Straż!!!

Następny grzmot uderzył właściciela fabryki prosto w uszy, a błysk niemalże opalił mu brwi.

– Widzę, że mówisz prawdę – stwierdziła czarodziejka – a teraz powiem ci, co masz

robić.

– Ale...

– Czy ja mówię dość wyraźnie? Najpierw wezwij straż.

– Co...? Ale... A tak, dobrze... Straż!!!

*

Rudi Huczymłot wyprężył się w postawie na bacność i zameldował:

– Atak odparty.

– To bardzo dobrze – Kociłokieć miał drżące dłonie – trzeba wypuścić jeszcze.

– Jak to panie, przeczeż...

– Zginął pierścień. Szukajcie go.

– Pierszcień? Tak jeszt panie. Idę wypuścić jeszcze.

Niewielkie, zajadłe, ale bardzo inteligentne drapieżniki od dawna służyły za pomocników sargalskim przestępcom. Wytresowany jeszcze potrafił śmiertelnie sterroryzować i przestraszyć przeciętną miejską gospodynię domową. Potrafił wejść do domu przez szczurzą norę i otworzyć okno, ułatwiając zadanie włamywaczowi. Najlepszym i najbardziej cenionym numerem było porywanie biżuterii – często w biały dzień i przez odgryzienie ofierze upierscienionych palców. Odchodził tu problem wyżywienia drapieżnika, a na niemal nienaruszone wyroby jubilera wystarczyło poczekać, aż o jeszcze upomni się natura i wyjątkowo szybki cykl trawienny. Graf Kociłokieć trzymał kilka sztuk dobrze wytresowanych jeszcze na wszelki wypadek. Teraz był wszelki wypadek.

– Czego szukamy, panie? – zapytał chudy opiekun jeszcze, Bywój.

Zza pleców właściciela Pormossu wyszła kobieta w zgrzebnej odzieży.

– Szukamy złotego pierścienia.

Eskorta spojrzała na grafa pytająco. Ten zmarszczył brwi:

– Słuchajcie jej. Szukamy pierścienia. Tego pierścienia – podkreślił – Rudi Huczymłot, ty dowodzisz akcją. A potem sobie porozmawiamy.

– Tak jeszt – krasnolud skrzywił się wewnętrznie. Wiedział, że rozmowa, która go czeka, dotyczyć będzie czujnej jak leśny nocny stres kobiety, dzierżącej śmiertelnie

niebezpieczne narzędzie. Bywój rzucił przed stadko jeszcze własny złoty pierścień. Pamiątkę po tym, jak przy pomocy tych zwierząt siał postrach wśród bogaczy na ulicach Puk-Puk i innych miast Sargalu. Po chwili drapieżniki pobiegły za Dudą, przewodniczką stada. Za nimi grupa strażników oddelegowana przez Rudiego Huczymłota.

Sam Rudi poszedł sprawdzić stanowisko przy bramie wjazdowej. Dwa woły zbożowe pasły się spokojnie na zakładowym trawniku, nie wyprężnięte z pełnej ziemniaków fury. „Din Szamrokhopper” – pomyślał dowódca straży. Znał hobbita nie od dziś. Znał go z obrotności i umiejętności zadbania o swoje interesy.

*

Graf, zupełnie wyjątkowo, łyknął duszkiem kubek Żywicy i skrzywił się. Nie lubił mocnych trunków, ale sytuacja była niecodzienna.

– Rzeknij swoim komandosom – powiedziała głośno czarodziejka – żeby nie próbowali żadnych sztuk, bo mam ich szefa na smyczy i starczy, że mocniej ścisnę gałązkę.

– Słyszeliście? – zapytał retorycznie otaczających ich w pewnej odległości zabijaków różnych ras. Skinęli głowami. Kociłokieć sięgnął po kiszzonego ogórka. Nic lepiej nie uwydatniało smaku Ponuropuszczańskiej Żywicy niż przyrządzone w ten sposób ogórki. Graf skrzywił się ponownie. Za kiszonymi warzywami też nie przepadał.

– Co będzie, gdy znajdą? – czarodziejka z obrzydzeniem patrzyła na piętrzące się wokół zwały ziemniaków, przymy gliny i gotowe do wywozu gąsiorki z charakterystyczną żółto – brązową etykietą. – Zawołają nas. – Oddał swoje pieski!

Skinął dłonią. Eskorta cofnęła się z zasięgu wzroku szefa. Gdzieś niedaleko, w twierdzy, szemrał strumyk.

– Używamy najlepszej wody źródlanej – zagaił po chwili właściciel Pormossu – mamy własne ujęcia i...

– Zamilcz! – spod palców kobiety strzeliły iskry. To nie było sympatyczne.

– Coś ty za jedna kob...?! – graf Kociłokieć zmitygował się szybko – Kim jesteś pani? Jak cię zwą?

Wypuściła powietrze nosem. Dla dodania efektu swoim słowom.

– Możesz mi mówić Mara. Albo jeszcze lepiej Tamara. Jestem żoną alkoholika. Byłą żoną. Byłego alkoholika. Zmarł na wątrobę.

– Bardzo mi przykro – wyszeptał Kociłokieć formalnie i zadrżał. Nie lubił fanatyczek – bardziej nawet niż wódki i ogórków. Bał się ich – szczególnie, gdy miały faktyczne powody, aby go prześladować.

*

Din Szamrokhopper od czasów nauki w Leśnej Szkółce w Wilku umiał czytać i pisać. Ale przede wszystkim czytać. Schowany za wielkim piecem do wypalania gliny powtarzał w myślach przepis na najpopularniejszy alkohol w Sargalu: „Wody źródlanej kadź, ziemniaków ziemnych sak...”. – A tutaj – doszedł jego uszu przedzierający się przez buzowanie ognia głos – Jest oddział lepienia gąsiorków. Jak pani widzi, daję zatrudnienie wielu ludziom, elfom, krasnoludom i hobbitom, wspomagam rolnictwo i tę, no, ekologię, poza tym...

– Poza tym rozpijasz Sargal i czerpiesz z tego ogromne zyski, z ludzkiej krzywdy.

– Ale...

– Zyski są tak ogromne, że przesłaniają względy moralności i zagłuszają płacz żon mężów alkoholików.

„Zyski” – pomyślał Din Szamrokhopper – „Ogromne zyski”. Din umiał zadbać o w miarę dostatnie życie swoje i swojej rodziny. Ale słowo „zyski” brzmiało jak nowy dom, nowa fura i koniec z grzebaniem się w ziemi. Słowo „ogromne” dodawało obrazowości. Zwłaszcza dla niziołka. Za piecem było gorąco. Din Szamrokhopper wyszedł ze swojej kryjówki i podniósł pierścień z wrytą nań recepturą nad głowę. W blasku padającym z ogromnego pieca do wypalania naczyń na wódkę nie wyglądał imponująco – jak mały, spocony niziołek. Mały, zdeterminowany, wiedzący czego chce, spocony niziołek.

– Tutaj! – krzyknął.

– Czego? – obejrzał się graf – A, pan, pan... Szemrakkupper?

– Szamrokhopper mości grafie. Chciałem porozmawiać o interesach.

– Mój pierścień! – zauważył w końcu Kociłokieć – Oddawaj mój pierścień!

– Oddawaj, ale mnie – odezwała się Tamara. Chłód jej głosu niemal gasił żar pieca.

– Zaraz – hobbit otarł pot z czoła – Jeśli można zauważyć, to ja mam pierścień i ja dyktuję warunki.

– To może być już niedługo – czarodziejka podniosła różdżkę nad głowę i zapaliła niebieski płomień.

„Skąd w tej kobiecie tyle nienawiści? Z powodu męża pijaka? I to w dodatku nieżyjącego?” – pomyślał właściciel fabryki i otarł pot czerwoną chustką wyciągniętą z lewej kieszeni.

Na dany sygnał strzała przeszła hałą fabryczną. Tamara złapała się za nadgarstek – magiczna różdżka upadła na klepisko. Z niespodziewaną zwinnością graf Kociłokieć podbiegł i kopnął ją w głęb oddziału lepienia gąsiorków. Z cienia wyszedł elf z naciągniętym łukiem. Spojrzał na szefa. Ten wskazał niziołka.

– Chwileczkę – Szamrokhopper zbliżył dłoń do paleniska – jeśli nawet trafisz, to ten beczenny pierścień potoczy się prosto do ognia. Stopi się i już nigdy nie odczytacie napisu.

– Czego chcesz? – graf skinął na elfa.

– Tak lepiej – hobbit odetchnął z wyraźną ulgą widząc, jak łucznik opuszcza broń – chcę... Chcę żyć dostatnio do końca moich dni.

– To może być już niedługo – zacytował czarodziejkę Kociłokieć – a jeśli nie?

– Spalę pierścień.

– Spal go – syknęła z nienawiścią Tamara, próbując wyszarpnąć strzałę z przedramienia.

– Zamilcz kobieto!

Przez szum ognia przebiegał się odgłos ujadających w oddali ogarów. W rzeczywistości był to odgłos tropiących jeszcze. Z bliska. Rozpędzona przewodniczka sfory wbiegła na hałą i nie wytracając pędu skoczyła na hobbita, mierząc bezbłędnie w złoty pierścień. Trafiła w pierścień. I wpadła z nim do ognia, ginąc w czeluściach pieca.

- Duda! – krzyknął zasapany Bywój – Duda!
- Za późno – odezwał się cicho niziołek.
Poczuł zapach palonej sierści – za późno –
powtórzył głośniejszym głosem – teraz znowu ja dy-
ktuję warunki.
- Teraz dołączysz do jeszcze – warknął graf.
- Nie sądzę. Znam receptę na pamięć. – Łesz –
stwierdził właściciel Pormossu
podejrzliwie.
- Nie – głos niziołka był spokojny – Przecież
chcę żyć dostatnio do końca moich dni.
Mogę zacytować. Szybko się ucze.
Spytajcie Rudiego Huczmyłota. To jak?
- Cytuj!
- Nikt z obecnych, zaabsorbowanych akcją, nie
zauważył, jak w głównych wejściu na
oddział lepienia gąsiorków staje niska ale
szeroka postać, zagląda do środka i z
cichym szeptem „tusz mi”, wbiega do
środku.
- To leci tak – hobbit podparł się pod bok –
wody źródlanej kadz, ziemniaków
ziemnych sak... – w dokończeniu
przeszkodziła pięść. Ciężka, twarda jak
diament i czarna jak węgiel pięść,
uderzająca ze znaczną prędkością. Prosto w

- głowę Dina Szamrokhoppera. Z
okrzykiem:
- Ty złodzieju, mam cze!
- Din już tego nie słyszał. Teraz leżał. Tylko i
wyłącznie leżał. Graf Kociłokieć poczuł ból
głowy, choć w porównaniu z sytuacją
niziołka nie powinien.
- Rudi, coś ty zrobił?
- Odnalazłem winowajcę – stwierdził
niepewnie Rudi Huczmyłot – i
unieszkodliwiłem.
- Właśnie – graf potarł dłonią czoło – zrobić tu
porządek – zwrócił się do zebranych –
zabrać ją – wskazał czarodziejkę Tamarę –
do mojego biura. Porozmawiamy. Opiekun
jeszczy, Bywój, zaglądał do pieca i cicho
nawoływał:
- Duda, Duda, chodź do pana.

*

- Rudi Huczmyłot – kontynuował właściciel
twierdzy Pormoss – pobierzesz pensję za
trzy miesiące i odejdziesz w trybie
natychmiastowym. – Ale chciałem
dobrze...



- Nowym dowódcą straży mianuję Czubba Waligórę. Wymyślić mi od zaraz jakiś system ochrony przed czarami. I ocucić tego niziołka.
- Na Dina Szamrokhoppera wylano cztery wiadra wody, nim otworzył oczy.
- O co chodzi? – wyjąkał przestraszonym głosem – kto wy jesteście?
- Receptura na Ponuropuszcząską Żywicę, pamiętasz? – potrząsnął nim właściciel fabryki.
- O co chodzi? No o czo?
- Graf Kociłokieć rozłożył ręce:
- To koniec Pormossu. Zginał przepis na nasze płynne złoto.
- A Pamiętacze panie? – wtrącił Rudi Huczmyłot.
- Co mam pamiętać Rudi? – grzeczna odpowiedź była najwyraźniej oznaką rezygnacji.
- Nie czy pamiętacze, tylko Pamiętacze. Oni pamiętają.
- Dziś rano dostałem wiadomość, że Jakub Wymertałek umarł. Podobno na wątrobę.
- Zapadła cisza. To był koniec. Pewnego etapu w historii Sargalu. A używając mniej wzniosłych określeń – koniec zakładu, ich pracy i kariery grafa. Czyli koniec ich małego świata.

*

- Wyszli przed halę oddziału lepienia gąsiorków. Ostatni, nie mogąc oderwać się od pieca, wyszedł opiekun jeszcze. Był smutniejszy niż inni. W dodatku coś spadło z dachu i uderzyło go w głowę. Coś pachnącego spalenizną i piszczącego.
- Duda! – ucieszył się Bywój – Ona żyje!
 - To było jak wiadomość o uratowaniu krzesła ze spalonego domu. Miła, ale co z tego.
 - Pewnie przebiegła w szybkim tempie przez komin – wzruszył ramionami elf łucznik.
 - W niesamowicie szybkim tempie. – Duda! Dobra Duda! Patrzcie, chyba chce kupę. Jeszcze mają bardzo szybkie trawienie. Dobra Duda, idź tam na trawnik.
 - Panowie, w tej tak smutnej dla nas chwili chciałbym wznieść toast! – zagaił graf Kociłokieć, odszpuntowując świeżą butlę Żywicy – To koniec, ale zostało nam jeszcze trochę wódki, której nie sprze-

- damy. Wypijemy ją. A może uda nam się stworzyć nowy produkt? Składnik Jakuba Wymertałka możemy spróbować zastąpić, metodą prób i błędów. Zobaczymy.
- Toast wzniesiono w ciszy. Nadzieja była tak nikła, że graf nalał jeszcze jedną kolejkę. W przelocie spojrzął na załatwiającego poważną fizjologiczną potrzebę jeszcze.
- Panie Bywój, sprzątnij to waść, nie znasz zasad?
- Znam, szefie.
- Kociłokieć dbał o porządek w Pormossie. Wszelkie nieczystości miały być sprzątane z trawników natychmiast, a właściciele odpowiadali za swoje zwierzęta. To był pożyteczny przepis.
- No to na zdrowie! – wzniesiono kubki – Bywój, chodźże już i napij się.
- Bywój stał nad efektem jeszcze trawienia i spoglądał nań, głaszcząc Dudę.
- To wy tu podejdźcie, proszę, wielmożny grafie – rzekł – dobra, bardzo dobra Duda, zasłużyła na nagrodę.
- Ton jego głosu i uśmiech na twarzy sprawił, że podeszli. Zobaczyli. Zwyciężyli. W jeszcze kupie błyszczał duży złoty pierścień.
- Klejnot tkwi w kwiecie lotosu. Też. – powiedział filozoficznie elf łucznik.
- Gówno i diament – stwierdził graf Kociłokieć – jesteśmy uratowani.
- Z hali lepienia gąsiorków wytoczył się Din Szamrokhopper i zapytał mętym głosem:
- Ale o co chodzi?

*

- Kilka godzin później już niemal całkiem trzeźwy właściciel twierdzy Pormoss znowu myślał tylko o interesach:
- Ja rozumiem, straciła pani męża. Rozumiem pani ból, rozumiem nawet to, że niesłusznie, podkreślam, niesłusznie nas pani obwinia. Jesteśmy nawet gotowi – tu graf Kociłokieć spojrzął z niejaką dumą w oczy czarodziejki Tamary – wypłacić odszkodowanie. Pod jednym wszakże warunkiem – teraz spojrzenie grafa zyskało na ostrości – musi nas pani nauczyć robić ogromne ziemniaki. Tylko bez rączek i agresywnych skłonności. To jak, dogadamy się?





HUBERT CZARNOCKI

Przyptyw

Błyski ślizgają się
po wodzie, ślą znaczenia.
Szepty świateł, pomruki wody.
Światło uwięzło
w krtani rzeki.
Przeczuwa, że jest jeszcze czymś.

Spotykałem obcych ludzi, słuchałem
rozmów, wpadały mi w ręce książki,
których miałem
nie czytać. Myślałem, że potrafię
zrozumieć alfabety
albatrosów, czytać bukwy buków. To
wszystko
widziane z góry miało składać się w
jakiś czytelny napis.
Kiedyś pomyślałem coś a po chwili
usłyszałem to
z twoich ust. Innym razem wieczór
zagiął kartę dnia,
tak że mogłem do niego powrócić.
Wierzyłem, że chodzę tropem,
mówiłem o znakach.
Sygnały, błyski zewsząd, pióra spadające
z nieba, podarunki z góry.
Jak książka, która przypadkowo
otworzyła
się na nieprzypadkowej stronie.

Wyślij w niebo sto tysięcy posłańców

Leżę obejmując swój cień, zaciskam w
palcach
imię Boga, śpię z jego szalikiem.
Kopię w ziemi w poszukiwaniu Boga,
zerkam przez szparę od klucza,
przeglądam zapiski. Rozchylam trawy,
rozgarniam
gałęzie. Rozszarpuje mnie samotność,
mój cień zanoszą się płaczem.

Chciałbym mieć w sobie przecucie
ciebie, nosić w sobie twój ślad, znamię,
rzucić się z mostu w twoje objęcia.
Znajdować pochowane w kieszeniach i
szufladach
upominki od ciebie. Śpiewaj mi do snu,
bądź
dla mnie wszystkim, skoro wszystko mi
zabrałeś.



JOANNA BURGIELE

CZERWONY CZAJNIK

Zenobia była starszą kobietą i mieszkała na czwartym piętrze typowego, szarego bloku. Z racji swojego wieku uwielbiała rutynę. Codziennie rano budziła się dziesięć minut przed budzikiem, który już od piętnastu lat niezmiennie nastawiony był na godzinę ósmą. Otworzywszy oczy Zenobia przez pięć do siedmiu minut wpatrywała się w płamę na suficie. Po upływie tego czasu siadała na łóżku, przeciągając się, co zajmowało jej do trzech minut. W zależności od tego, czy zostało jej jeszcze trochę czasu, czy też nie – odmawiała (lub nie) swoją poranną modlitwę: „O Jezusie Nazarejski, jak mnie dzisiaj garb napieprza!”

Nie jadła śniadania, za to każdego ranka wypijała dwie filiżanki mocnej kawy. Siedziała potem nawet do dwudziestu minut na stołku między lodówką a stołem w małej kuchence i cierpliwie czekała aż jej serce przestanie łomotać jak wariat. Oczywiście nie próżnowała w tym czasie! Zenobia doskonale zdawała sobie sprawę z tego jak cenna jest obecnie każda minuta jej życia. Najpierw spoglądała za

okno i sprawdzała, czy gołębie nie nasrały na parapet. Jeśli nasrały – odnotowywała ten fakt w notatniku: „sprzątnąć kupy”. Mimo doskonałej pracy umysłu i wzorowej w tym wieku sprawności fizycznej, Zenobia miewała kłopoty z pamięcią.

Sprawdziwszy stan czystości parapetu, staruszka kierowała wzrok na zlew. (Jej serce cały czas dudniło jeszcze w szczupłej i kościstej klatce piersiowej, wciąż pozostawało dziesięć – piętnaście minut do pełnej równowagi). W zlewie zawsze znajdowały się naczynia pozostawione po kolacji. Zenobia nie miała siły zmywać po całym dniu ciężkiej pracy nad swoim życiem. Wolą z rana szorować gary szczotką ryżową niż pół do dziewiątej wieczorem (punktualnie o dwudziestej pierwszej kładła się spać) choćby przetrzeć je wilgotnym zmywakiem. Aktywny dzień życia Zenobii nie pozostawiał ani odrobiny energii – wszystko należało porządnie odespać.

Spojrzenie na zlew przypominało kobiecie o konieczności zaplanowania dnia. Przez



ostatnie dziesięć minut łomotania starego, zmęczonego serca, notowała kolejne punkty: „kupy, zmywanie, ćwiczenia, zakupy, sprzątanie, ćwiczenia, obiad...”. Lista mogła wyglądać każdego dnia nieco inaczej, zawsze jednak opierała się na tym samym schemacie i zawsze musiała być gotowa przed dziewiątą rano. O dziewiątej Zenobia zaczynała życie.

Jednak – jak nietrudno zgadnąć – tego dnia (tak, właśnie tego dnia!) coś poszło nie po myśli Zenobii. O godzinie piętnastej czternaście (już prawie piętnaście) staruszka usłyszała gwizdek czajnika. Z początku był cichy i odległy, z pewnością dochodził z któregoś z mieszkań piętro niżej. Z każdą chwilą stawał się jednak coraz głośniejszy i bardziej natarciwy. Staruszka właśnie tarła marchewkę na surówkę, „przecież dopiero surówka!” – myślała z irytacją – „Potem wstawiam kartofle i gotuję pulpety, herbata zawsze na końcu!” Ze złością rzuciła nóż na deskę, z taką siłą, że odbił się i upadł na podłogę. Kobieta nie zwracając na niego uwagi, chwyciła kartkę z rozpisanim planem dnia. Sprawdziała punkt po punkcie, mamrocząc do siebie. Wszystko się zgadzało: surówka, kartofle, pulpety. A herbata na końcu! Zupełnie zdezorientowana stała na środku kuchennej i czuła jak w jej oczach zbierają się łzy. Już zaciskała dłonie w pięści by zacząć bić się po głowie, kiedy nagle dźwięk ustał całkowicie jak ucięty kuchennym nożem. Cisza jaka zapadła była najpiękniejszą muzyką dla uszu Zenobii. Kobieta szczęśliwa wróciła do swoich obowiązków.

Następnego dnia na obiad miały być kopytka. Instrukcja głosiła: mąka, jajka, woda – wałkować; formować, kroić, gotować; smalczyk i herbata – ale czajnik zaczął gwizdać już kiedy Zenobia odkrajała piątą kluskę! Mało nie zacięła się w palec z tego wszystkiego! Dźwięk był nie do zniesienia! Dla pewności znowu spojrzała na kartkę, ale wszystko było w porządku, tylko ten cholerny gwizdek! Postanowiła przeczekać. Usiadła na stołku i spojrzała za okno. Zdążyła zauważyć nową ptasią kupę na parapecie i już miała podnieść się, by ją posprzątać, kiedy w jednej chwili dźwięk gwizdka ustał całkowicie. Zenobia czuła coraz większy niepokój – co robić? Myć parapet, czy kroić kluski? Z ciężkim sercem zdecydowała, że powróci do planu

dziennego, notując jednak odnośnik na marginesie: „sprzątać kupę”.

Kolejny dzień też nie był dla Zenobii spokojny, podobnie jak cały nadchodzący tydzień. Od kiedy gwizdek czajnika po raz pierwszy wyrwał ją z ukochanej rutyny kończącego się powoli życia, nie dał jej już ani dnia wytchnienia. Ręce Zenobii zaczęły trząść się bez powodu. Kiedy usiłowała dziergać serwetkę na bujanym fotelu w pokoju, który niegdyś nazywała gościnnym, szydełko po pewnym czasie wypadało jej z ręki, a robótka pruć się o kilka centymetrów. Staruszka nigdy nie mogła przewidzieć, kiedy znowu usłyszy znienawidzony dźwięk, ale wiedziała, że na pewno nie będzie wtedy pora na herbatę! Po jakimś czasie uświadomiła sobie, że dźwięk rozlega się codziennie po piętnastej. Czasem było to pięć, a czasem piętnaście minut – te różnice doprowadzały Zenobię do szału. Mimo wszystko zaczęła włączać gwizdek do swojego planu dnia. Pomiędzy „zetrzeć marchewkę” i „wstawić kartofle” wpisywała drukowanymi literami: „CZAJNIK”. Z tego też powodu tarła marchewkę powoli i niezwykle ostrożnie, czekając w napięciu na wrzask intruza. W końcu przestała już podskakiwać gdy go usłyszała, raczej wdychała z ulgą, że na ten dzień ma już problem z głowy.

Sytuacja oczywiście skomplikowała się, kiedy czajnik zaczął gwizdać dwa razy dziennie. Pierwszy raz po piętnastej, drugi raz przed dwudziestą, która była porą kąpeli. Zrozumiałe jest, że Zenobia odczuwała wyjątkowy dyskomfort siedząc w wannie i namydlając brzuch, gdy nagle, usłyszawszy gwizdek – zaczynała się zastanawiać, czy być może rzeczywiście nie powinna w tej chwili parzyć herbaty? Pamięć Zenobii była słaba, każdy element życia codziennego traktowała więc jak przypomnienie obowiązków, ale ten jeden szczególnie element nie był starannie wyselekcjonowaną i zdefiniowaną częścią jej poukładanej, spokojnej starości! Był intruzem w jej szczegółowo zaplanowanym życiu i staruszka czuła całym sercem, że nie może pozwolić mu zniszczyć tej pięknej rutyny, którą tak ukochała, którą budowała pieczołowicie już od piętnastu lat!

W sobotę obudziła się jak zwykle, wypila dwie kawy i siedząc przy kuchennym stoliku o godzinie ósmej dwadzieścia przy wtórce



Małgorzata Kołkiewicz

mocno bijącego serca spisywała swój plan dnia. Jako najważniejszy punkt (zaraz po sprzątaniu kup, których tego dnia było na parapecie wyjątkowo dużo!) wpisała zamasyżycie i z determinacją, wielkimi drukowanymi literami: „CZAJNIK – ZABIĆ” zaplanowane na dziesięć minut po piętnastej. Na wypadek gdyby zdarzyło się, że zacznie gwizdać wcześniej (na przykład pięć po piętnastej), Zenobia zrobiła adnotację na marginesie: „rzucić wszystko natychmiast!” Tak też zrobiła. Gdy tylko gwizdek czajnika ogłosił godzinę piętnastą pięć, staruszka rzuciła nóż i odkrojoną właśnie kluskę do zlewu, po czym wyszła z mieszkania, ostrożnie schodząc po schodach piętro niżej. Znalazła drzwi, za którymi jak oceniała czajnik na pełnym gazie był już bardzo bliski eksplozji. Zapukała. Nie trudno się domyślić, że jej pukanie zupełnie utonęło w morzu głośniego, szaleńczego gwizdu. Zenobia poczuła na całym ciele nagłą falę gorąca. Przez głowę przebiegało jej milion myśli: gdzie jestem? surówka, kartofle, sprzątnąć kupę, wyjść z wanny, owinać ręcznikiem brzuch, wytrzeć stopy do sucha, do łóżka, spać, spać, spać...

Zenobia waliła szaleńczo w drzwi mieszkania numer siedemdziesiąt sześć, powoli tracąc siły. Czuli, że się dusi, było jej gorąco, brakowało powietrza, a dźwięk gwizdka nagle urwał się w jednej sekundzie jak to miał w zwyczaju. Staruszka już tylko lekko stukwała w drewno swoją słabą piąstką, przytrzymując się ściany i dysząc ciężko. Nagle złapała się za suchą lewą pierś i upadła na wycieraczkę. Zapadła pełna napięcia cisza, przerywana tylko tłumionym gruchaniem gołębi gdzieś na dachu budynku. Wewnątrz mieszkania ktoś zbliżał się do drzwi.

Po chwili na progu stanęła szczupła młoda kobieta w różowym szlafroku frotte niedbale przewiązanym w pasie. Na nogach miała różowe, puchate papucie, a na głowie turban z wielkiego różowego ręcznika. W rękę trzymała pękaty czerwony czajnik z zakręconą spiralnie metalową rączką – lekko nałożony gwizdek jeszcze podśpiewywał melodyjnie, przepuszczając przez dzióbek szare obłoczki pary. Z czajnika parowała śmierć.





PAWEŁ GŁOWNIAK

W pustym, zamkniętym w szarości domu
 Żyły zjawy okropne, nieznane nikomu
 Przeszłości duchy ukryte w nicości
 Gnębiące co noc swych nielicznych gości
 Na biurku starym, wśród papierów stosów
 Otwarta księga, na niej pukiel włosów
 Słowa na pierwszej stronnicy zapisane
 W dziwnym języku, litery nieznane
 Na dole przypis bardziej zrozumiały:
*„Dla tych, co na chwilę swą czekały
 Dusz martwych, posłańców Tego,
 Co przeciwstawił się Najwyższemu, co
 złamał wolę Jego”*
 Powyżej gwiazda pięcioramienna w kręgu zamknięta
 Płomienną czerwienią nakreślona jej linia kręta
 W krańcu komnaty młody człowiek zagubiony
 Świecą oświeć swą drogę, drży przerażony
 Staje na wprost księgi, spogląda na jej stronnice
 Duka wyrazy powoli, różowieją z przejścia mu lice
*„E`ST artiz w hant ve
 Tis Bachu nales le
 Vie li ba tue
 Vole wer i he`n“*
 Po komnacie rozgląda się niecierpliwie
 Wzrokiem obłądnym patrzącym chciwie
 Gwiazda błysnęła, buchnęła czerwienią
 Na wszystkich ścianach jej kolory się mienia
 Głos z wnętrza niczego dobył swe tony:
*„Tyś, co mnie wezwał, spośród żywych
 zostaniesz przekreślony
 Dusza twa niech w czeluściach piekła płonie
 Umysł w oceanie szaleństwa niechaj tonie
 Kmieciu parszywy, śmiertelniku niemrawy
 Nawet nie wiesz, co przyzwalaś dla swej*

zabawy

*Jam jest Zniszczenie, jam Pan Zagłady
 Nikt na tym świecie nie da mi rady
 Odejdź teraz w pokoju człowieczku głupi
 Zabierz sprzed mych oczu swój obraz trupi
 Sługą mym będziesz do ostatnich chwil swego
 bycia
 Jam jest pan twojego życia
 Będziesz patrzył, jak świat niszczeje w mych
 dłoniach
 Będziesz czuł jego ból w swych własnych
 skroniach
 Dla swej pychy mnie wezwałeś
 Postawiłeś wszystko na jedną kartę,
 przegrales”*
 Młodzieniec panicznie wzrokiem rzuca dookoła
 Pragnie uciec i przerażony woła:
*„Panie! O litości błagam cię odrobinę
 Nic nie zrobiłem, a zarzucasz mi winę
 Przybyłem, by cię uwolnić, wydobyć z
 podziemi
 Wrócić w twą rękę siłę, byś panował na
 Ziemi
 Myśli me podle, które by chciały
 Równym tobie być, już poznikaly
 Mocy ja nie chcę, o litość proszę
 Nanhat, takie imię ja noszę”*
*„Nanhat, ty będziesz posłańcem mroku
 Żaden śmiertelny nie dotrzyma ci kroku
 Tam, gdzie twa noga przekłeta postanie
 Życie się skończy i ciemność nastanie
 Imię swe zmienisz, kimś innym będziesz
 zwany
 Jako sługa ciemności będziesz pamiętany
 Dzisiaj umarłeś, dziś się narodziłeś
 Przeszłość swą wymarz, zapomnij, kim byłeś
 Idź teraz i siej zniszczenie
 Na twoje barki składam te brzemie
 Pod nowym imieniem w świat ruszaj,
 parszywy
 Bohadur, umarły, lecz żywy
 To ty, zapamiętaj to dokładnie
 Nie podnoś głowy, bo już żeś na dnie”*



KRZYSZTOF T. DĄBROWSKI

ŻYWOT PARSZYWY

Odkąd sięgał pamięcią Pech był mu wiernym i niechcianym druhem. Za złośliwość losu uważał już sam fakt, że urodził się w tak popieprzonym kraju jak Rosja - gdzie ludzkie życie nie jest warte funta kłaków. O tak! Matuszka Rassija znana była z okrucieństwa. Wredny towarzysz miewał w zwyczaju ujawniać się w najmniej spodziewanych momentach. Gdy już o sobie przypominał, na ogół wywracał świat Siergieja do góry nogami. Życie z takim kompanem przypomina chodzenie po zamrożonym jeziorze, niby lód jest gruby i czujesz się bezpiecznie, lecz wystarczy chwila nieuwagi - trafiasz na cieńsze miejsce i trach! Łądujesz w zimnej wodzie. Jeśli miłościwy jest ci litościwy, miast utonąć, kończysz z zapaleniem płuc w szpitalu.

Siergiej Siemionowicz, długo oczekiwany pierworodny, pojawił się na świecie pewnej zimowej nocy, tuż po pierestrojce. Będąc małym brzdącem praktycznie nie miał rodziców, oboje byli tak zapracowani, że w zasadzie dom był im hotelem. Otoczony nadopiekuńczymi niańkami i stertą zabawek, jakich tylko dusza zapragnie, spędzał całe dni na kreowaniu fantastycznych krain, których był oczywiście jedynym i niepodzielnym władcą. Z

czasem wszystko się zmieniło - wkroczył w buntowniczy wiek. Gdy zaczął sprawiać problemy, wtedy jaśniepaństwo raczyli łaskawie zauważyć, że mają syna. Trochę się spóźnili...

Nadal ich kochał, ale nie potrafił już znaleźć z nimi wspólnego języka. Początkowo bunt służył do tego, by zwrócono wreszcie na niego uwagę, potem stał się pejcem, którego używał by wymierzyć im karę, pokutę za błędy wychowawcze.

Jesień; szarobure niebo siąpiło zimnym deszczem. Sterty pożółkłych liści czekały aż pierwszy śnieg pogrzebie je pod sobą. Rachityczne gałęzie drzew targał lodowaty wiatr. Z upodobaniem wciskał się w każdą możliwą szparę między ubraniami. Nienawidził tej pory roku - kojarzyła mu się z umieraniem. Nie przypuszczał, że od dziś będzie przypominała tylko i wyłącznie o pewnej bezsensownej śmierci...

Po fizyce wyłączył komórkę (wciśnię kit, że się rozładowała) i wymknął się ostrożnie ze szkoły. Był umówiony z Olegiem na wspólne wagarowanie. Oleg miał fajnych starszych - wystarczyło, że nie chciał iść do szkoły i pozwalali mu zostać w domu. Zaległości? Jakie zaległości? Odrobina gotówki i nie było po nich śladu. Czasami mu zazdrościł; on tradycyjnie dostanie niezłą burę gdy tylko ktoś poinformuje ojca; z matką jeszcze pół biedy, zawsze jakoś się można było dogadać. Czego się jednak nie robi dla dobrej zabawy? U Olega miały być dwie fajne panny, łatwe la-seczki, które po paru kieliszkach lubią się pobzykać. Dla takiej rozrywki gotów był znieść ostrą ojcowską połajankę, nawet trzygodzinny monolog o tym, że skończy jako cieć zamiatający ulice. Bo jeśli nie znormalnieje i nie zacznie się uczyć jak wszyscy normalni (normalni? hahaha) chłopcy w jego wieku, tylko taka przyszłość go czeka.

– Sie ma stary oceanie – wesoło wykrzyknął Oleg otwierając drzwi na ościernie – wskakuje!
– Hejka brachu! – odparł Siergiej i wskoczył.



Małgorzata Kołkiewicz

– Rozmięczyłem je trochę winkiem – mru-
gnął porozumiewawczo okiem.

Siergiej wyszedł od Olega późnym wieczorem, maszerował do domu cały w skowronkach; tego dnia nawet okrutnik wiatr nie mógł popsuć mu humoru. Upojony alkoholem i przyjemnymi wspomnieniami nie odczuwał zimna. Uwielbiał takie powroty do domu.

Wewnątrz mieszkania panowały egipskie ciemności. Dziwne – pomyślał – matka jak to matka pewnie przesiaduje u jakiejś znajomej. Ale ojciec? Zawsze o tej porze był w domu. Usłyszał cichutkie zgrzytniecie. Nie przejął się tym zbytnio przyzwyczajony do różnych odgłosów - było to naturalne w każdym domu. Śmiał się na wspomnienie tego jaki lęk w nim wywoływały, gdy był małym szkrabem. Myślał, że po domu chodzą okrutne potwory gotowe pożreć go, gdy tylko wyjdzie ze swojego pokoju. Kiedyś nawet zła się ze strachu do łóżka – coś stuknęło w ciemnościach, w rogu pokoju i po chwili leżał w mokrej pościeli. Intuicja podpowiadała, że tym razem coś jest jednak nie tak. Tylko co? Zdjął w pośpiechu buty i zapalił światło. Oczy przodków spoglądały nań surowo z pożółkłych obrazów. Wbiegł po skrzypiących stopniach na piętro i Skierował się wprost do łazienki - wiedział, że trzeba wykorzystać te chwile samotności by doprowadzić się do porządku po imprezie. Niedbale wyszorował zęby, aby zabić zapach fajek i gorzałki, dla lepszego efektu przepłukał usta płynem antybakteryjnym. Długo mydlił dłonie; starzy strasznie się o to palenie czepiali. Usłyszał kolejne, tym razem wyraźniejsze, zgrzytniecie. Postanowił sprawdzić skąd dobiega ów dźwięk – zaczynał już działać mu na nerwy; za każdym razem miał wrażenie, że któreś z rodziców właśnie wróciło do domu. Wyszedł i zaczął nasłuchiwać. Cisza, przez parę sekund, nieznacznie się dłużyła. Kolejne zgrzytniecie – to z biura ojca – pewnie zapomniał zamknąć okno. Pomieszczenie, w którym ojciec zwykł najczęściej rezydować, przypominało małą bibliotekę – po bokach stały ogromne regały wypełnione księgozbiorem, między nimi okazałe mahoniowe biurko. Gdy

wkroczył do środka ujrzał obraz, który będzie mu się latami pojawiać w koszmarach sennych: przewrócone krzesło i wisielec... TATA! Wpatrujące się z niemym wyrzutem, nabiegłe krwią oczy, wystający z ust siny język i zwisająca, zastygła stróżka śliny. obraz pociemniał jak gasnący w ciemnym pomieszczeniu telewizor. Zemdlał.

Przebudził się w szpitalu z obandażowaną głową; założono dziewięć szwów. Początkowo niewiele pamiętał i nie do końca wiedział dlaczego się tu znalazł, lecz z minuty na minutę pamięć w okrutny sposób przywoływała skrawki wydarzeń sprzed paru godzin, wyświetlając je niczym makabryczne slajdy.

Wypisany został jeszcze tego samego dnia. Dwa dni później pogrzeb ojca. Do tej pory oboje jakoś się trzymali. Za dnia mieli mnóstwo formalności do załatwienia, lecz w nocy i on i matka dali upust długo powstrzymanywanych emocjom. Leżąc nocą w łóżku słyszał szloch dobiegający zza ściany, czuł się taki bezsilny, przepełniał go poczucie winy. Gdyby tamtego dnia wrócił normalnie do domu...

To właśnie wtedy pierwszy raz w swe czule objęcia wzięła go siostrzyczka Depresja. Niepozorny, zbuntowany nastolatek w ciągu jednej nocy przemienił się w odpowiedzialnego, przygniecione go ciężarem życia, mężczyznę. Cierpienie matki sprawiło, iż z dnia na dzień stał się wzorowym uczniem, jednym z tych grzecznych kurjonków, którymi tak zawsze pogardzał. Wszystko to po to by nie przysparzać matce dodatkowych zmartwień. Prosto ze szkoły gnał do domu i wyręczał ją w czym się tylko dało. Niewiele go obchodziło, że dawni kumple odwrócili się od niego po tej metamorfozie, że się śmieją. Miał gdzieś durne zaczepki, jedynie Oleg go wspierał. Najważniejsze było by matka odzyskała chęć do życia. Niestety było z nią coraz gorzej. Twarz, kiedyś pełna życia, teraz była blada. Podkrążone i opuchnięte oczy straciły cały blask. Spojrzenie nieobecne - nie było nawet śladu po błyskających dawniej wesołych iskierkach. Skryta, przygarbiona, milcząca, a przecież kiedyś była duszą towarzystwa. Nieukoiony smutek odcisnął

się na jej zdrowiu ponurym piętnem. Nie upłynął nawet rok od śmierci ojca jak wykryto u niej raka, niestety w fazie terminalnej, kilka miesięcy później umierała w okropnych męczarniach. Nie mógł nic zrobić; znowu tak cholernie bezsilny, przepełniony poczuciem winy.

Nie był na to przygotowany. Przez ostatnie miesiące cały czas się okłamywał, cały czas miał nadzieję, nawet przez chwilę nie dopuszczał do świadomości okrutnej prawdy. Teraz musiał wziąć sprawy w swoje ręce i zdecydować co dalej, z czego będzie żył. Z ciężkim sercem sprzedał dom rodzinny. Nie miał żadnego wyboru.

Pieniądzy wystarczyło raptem na dwa lata. Na początku wydawało mu się, że jest bogaczem. Miał wrażenie, że te pieniądze starczą na bardzo, BARDZO DŁUGO. Wynajął malutką kawalerkę. Pieniądze praktycznie przeciekały mu między palcami, na imprezki, na panienki, na alkohol, wystawne obiady w renomowanej restauracji. Głównie na trunki z procentami, którymi bezskutecznie próbował zagłuszyć rozpacz po utracie rodziców. Ani się obejrzał a na koncie były już tylko marne resztki. Przez prawie trzy dni nie wychodził z domu, przepełniony bezbrzeżnym lękiem i poczuciem beznadziei. Godzinami leżał na łóżku gapiąc się w pożółkłą wytartą tapetę jakby w niej znajdowało się rozwiązanie wszystkich jego problemów. Trzeciego dnia, w czwartek, w jego ogarniętym mrokiem umyśle pojawiło się nagle światło nadziei na lepszą przyszłość. Aż się zdziwił że wcześniej na to nie wpadł.

Dilerka okazała się całkiem intratnym zajęciem. Szybko wkręcił się w odpowiednie środowisko. Dzięki sprytowi, obrotowości i instynktowi radził sobie całkiem przyzwoicie w tym interesie - zupełnie jakby los chciał mu wynagrodzić dotychczasowe cierpienia. Skutkiem ubocznym nowego zajęcia były wyrzuty sumienia. Wielu znajomych wpakował w ten syf, ale przecież gdyby nie on to kto inny by im to sprzedał. Gdy pojawiały się przykre myśli, przypominające swą natrętnością rój wygłodniałych much, zbijał je kontrargumentem, że przecież los

postawił go pod ścianą. Na znalezienie uczciwej roboty, przy obecnym bezrobociu nie było na to nawet najmniejszej szansy. Z czasem coś w nim umarło i przestało przypominać mu o tym co jest dobre a co złe. Przyzwyczaił się i zobojętniał.

Jego terenem było Piekiełko, znana moskiewska dyskoteka. To właśnie w niej poznał Sonię – delikatną, wrażliwą blondyneczkę z rozbitej rodziny. Była inna niż spotykane każdego dnia laski. Sprawiała wrażenie małej zagubionej dziewczynki, którą musiał się zaopiekować. Skromna, inteligentna – prawdziwy skarb na tle wyzywająco ubranych, wiecznie podpitych, wulgarnych córeczek bogatych tatusiów, które się do niego przystawiały. Jednak w głębi duszy zrodziło się w nim przeczucie, że to wszystko było zbyt cudowne, by mogło być prawdziwe. Oboje byli po przejściach; szybko znaleźli wspólny język i stali się nierozłączną parą. Sonia wiedziała czym się zajmuje - nie potępiała tego, wiedząc jakie są realia. Miała tylko nadzieję, że jeśli tylko nadarzy się okazja to Siergiej z tym skończy.

Życie znowu nabrało jasnych kolorów, znowu miał po co żyć. Odnalazł się ten zagubiony sens trwania na tym świecie. Idylla trwała zaledwie kilka miesięcy. Zaslepiony bezbrzeżnym szczęściem i poczuciem spełnienia, nie zauważył powoli pojawiających się pęknięć. Gdy tak trwał w niezachwianym przekonaniu, że los mu sprzyja, że nic złego już się nie wydarzy; przypomniał się stary znajomy... Pech. Żywot parszywy; okazało się, że jego jedyna, ukochana, najcudowniejsza kruszynka jest pieprzoną kurwą, suką, zdzirą, która daje się posuwać jego najlepszemu przyjacielowi, Olegowi. Kutas nie przyjacieli! Miał ochotę ich pozabijać. Skończyło się na połamanym nosie Olega i splunięciu dziwce w twarz.

Chlał na umór przez kilka dni zamieniając kawalerkę w ruinę. Budził się i zasypiał, oblepiony brunatnym kleistym potem, dryfując po morzu czterdziestoparo procentowego alkoholu. Skóra zeskorupiała od niezliczonych spazmatycznych wyrznięć, w ustach ohydny kapioc-

waty posmak i to palenie w żołądku. Gdy wyszedł z rozpaczliwego ciągu w mieszkaniu cuchnęło gorzej niż w gorzelni. Po podłodze walały się puste butelki, pety – to cud, że pożaru nie było – i gdzieś tam zaschnięte, nie do końca przetrawione rzygowiny; niechciana pamiątka z żołądka: zupki chińskie, kawałki ogórka, niezidentyfikowane mięsiwo, resztki ryb, cuchnąca breja. W pijanym widzie zdemolował wszystko co się tylko dało połamać lub potłuc; prywatna apokalipsa. Zdychał z wyczerpania leżąc na dywanie męczony najkoszmarniejszym kacem ze wszystkich dotąd przeżytych. Jego organizm składał się w siedemdziesięciu procentach ze spirytusu; pocił się spirytusem, szczał spirytusem, nawet we łzach były procenty. Czuł się wyprany z uczuć i chęci do życia. To wtedy postanowił po raz pierwszy przydragować. Może lepiej byłoby im tam gardła popodrzynać, jak prosiakom, a potem palnąć sobie w łeb?

Piekielko, różowy, tandetny neon z daleka rzucał się w oczy, przyzywając utrudzonych nocnych wędrowców. I pomyśleć, że to kulturalna, znana na całą Moskwę dyskoteka, i że dostanie się do środka w piątkowy wieczór graniczyło z cudem. Przy wejściu stało dwóch łysych, mocno przysterydowanych, ubranych w skóry bramkarzy.

– Sie masz, Siergiej – Wycodził przez zęby ten bardziej przypakowany, przygryzając jednocześnie zapalke. – Dawno cię tu nie było, wskakuj.

Taaa, zawsze miał wjazd za friko, czuł się tu jak w domu – lubiany zarówno przez klientów jak i obsługę. Aby dojść do pulsującego jednostajnym, dudniącym dźwiękiem serca dyskoteki musiał pokonać, przeciskając się między ludźmi, strome wąskie schody następnie należało tylko przeprowadzić się przez długi słabo oświetlony (i jeszcze bardziej zatłoczony) tunel – podobny do tych w bunkrach – i przedsięwzięcie z ogromnym półokrągłym barkiem. Dotarcie do tego miejsca zajmowało mniej więcej dziesięć minut. Po drodze robił częste przystanki, by sprzedawać towar stałym klientom. Jak zawsze gdy tam



☒ Mariusz Bober

dotarł, uboższy o jakąś jedną trzecią prochów, robił sobie przerwę na drinka. Przebiec się przez tłum do którejśkolwiek z mocno wymalowanych barmanek graniczyło z cudem, lecz nie miał z tym problemów, wszystkie go znały. Wystarczyło że stanął w do-brze widocznym miejscu a momentalnie pojawiała się jedna z nich z jego ulubionym dryniem. Dziwnym trafem zawsze znajdowało się też wygodne miejsce do siedzenia.

Sącząc bez pośpiechu obserwował podrygujące na parkiecie dziewczyny. Jak sprzedawał cały towar, jak zwykle wyrwie jakąś pannę i trochę się zabawią. Po zdradzie Sonii wszystkie kobiety stały się dla niego tylko pustymi suczkami, które należało poderwać, przelecieć i splawić. Już nigdy nie będzie tak durny aby się zakochać.

Snujące się leniwie myśli przerwał kolejny stały klient. Błado zielonkawe zombie; trzęsący się jak galareta strzępek człowieka o wielkich przekrwionych oczach, ściskający w dłoni z trudem uzbierane pieniądze. Zmusił się do przyjaznego uśmiechu i

sprzedał kolejny foliowy woreczek, niezbędny tej imprezy - dla tego chłopaka prawdopodobnie gwóźdź do trumny. Zostawił uszczęśliwione ludzkie truchło i ruszył na parkiet. Po drodze zaczęła go dziewczyna, z którą niedawno się zabawił. Trochę się pocałowali i ją splawił. Czuł się już trochę zmęczony. Im szybciej zejdzie cały towar tym prędzej wróci do domu. Wyrósł już z całonocnego imprezowania. Coraz częściej jednostajny, mechaniczny łomot wywoływał ból głowy i podenerwowanie. Ktoś odpalił ultrafiolet i stroboskop. Poruszający się rytmicznie ludzie sprawiali wrażenie na-kręcanych automatów. Zastygali w dziwacznych pozach jak na obrazach szalonego artysty. Ciemność. Chłopak podrzynający dziewczynie gardło. Ciemność. Siergiej wydał ochrypy, pełen niedowierzania okrzyk. Z gardła wytryskuje krew. Ciemność. Poczuł

jak serce załomotało arytmicznie niczym jazzowy perkusista. Dziewczyna wylupuje chłopakowi oczy. Ciemność. Rozbryzgujące się gałki oczne. Ciemność. Czuł jak nogi zaczynają się pod nim ugiąć.

Dwa czarne otwory i szklista posoka spływająca po twarzy. Ciemność.

Kurwa! Dosypali mi coś. – Olsniło go jedyne racjonalne wyjaśnienie dla rozgrywającej się przed nim masakry.

Większość tańczących wywija nożami, tnąc i dźgając każdego kto się znajdzie w zasięgu ostrza. Ciemność. – Boże jestem naćpany! – Wymamrotał sam do siebie – Mam przejebane.

Miganie stroboskopu znacznie przyspieszyło i miał wrażenie, że wszyscy zaczęli się poruszać w zwolnionym tempie. Wyglądało to jak makabryczny balet. Mimo ran ludzie nadal tańczyli dźgając się nożami. Połyskliwe, śliskie wnętrzości wypływając z



powłok brzusznych, podskakiwały w rytm szaleńczej muzyki. Przetarł mocno oczy mając nadzieję, że ohydne majaki znikną. Niestety. Tuż przed nim mokry od potu grubasek skalpował ładną blondyneczkę. Nóż powoli przesuwiał się po czole. Drugą ręką oddzierał włosy, razem ze skórą, od czaszki. Po delikatnej twa-rzyczce spływały ciemne stróżki krwi. Kątem oka dostrzegł błysk. W ostatniej chwili odskoczył w tył ratując się od zbliżającego się ostrza. Jezul! Muszę wyglądać jak idiota – Pomyślał. Postanowił najszybciej jak się tylko da opuścić lokal nim ktoś się zorientuje że gnębią go halucynacje. Mocne uderzenie w plecy prawie zbiło go z nóg. Zatoczył się do przodu rozpaczliwie zamachał rękami jak cepami. Minę miał jak baletnica, która uświadomiła sobie na scenie, że zapomniała o założeniu majtek. Gdy tylko odzyskał równowagę zauważył nóż wystający z boku. Dokoła rany powoli powiększała się ciemna plama. Krwawił. Czuł, że zaczyna wpadać w panikę. Nie był w stanie ocenić co jest rzeczywistością a co majakiem. To wszystko było takie realistyczne. – Posłuchaj – powiedział do siebie. – Takie rzeczy się zdarzają. Coś ci dosypali a ty się teraz rzucasz jak wariat. Ludzie naokoło na pewno gapią się na ciebie Siergieju jak na idiotę. Teraz musisz schować się w najbliższym kiblu i doprowadzić do stanu używalności.

Instynktownie ruszył w dobrze znanym kierunku. Dopadł drzwi. Gdy tylko znaleźli się w środku wpadł do pierwszej z brzegu wolnej kabiny i szybko zaryglował drzwi. Panika wracała jak fala po odpływie gotując się do tego by zalać chaosem jego rozemocjonowany umysł. Nie zdążył przeanalizować tego co się wydarzyło; obraz przed oczyma dziwnie się rozmył i zaczęło się robić coraz ciemniej i ciemniej i ciemniej...

Obudzony przez pulsujący tępy ból głowy, otworzył oczy. Otaczała go ciemność. Uwięziono mnie – jedyne logiczne wytłumaczenie jakie przyszło mu do głowy. Tylko kto, gdzie i dlaczego? Pamiętał rzeń w piekielku, nóż tkwiący w boku, ale co było dalej? Pomacał dłonią, nie było

żadnej rany. Nic mu się nie stało. Wstał ostrożnie by nie narobić hałasu. Dziwne – nikt go niczym nie skrępował. I po co była ta cała szopka z narkotykiem? – był już w stu procentach przekonany, że coś miał w drinku, że ktoś się za coś mści. Dlaczego? Może stracił kogoś przez prochy? Może komuś podpadł? Tylko czym? Może kolesie z konkurencji chcą przejąć teren? Uświadamiał sobie, że jest bardziej niż prawdopodobne iż czeka go jeszcze trochę nieprzyjemnych doznań. Ktoś zamierzał się nad nim trochę po pastwić bo w innym wypadku po prostu zarobiłby kosę między żebra; w roztańczonym tłumie nikt by nie widział sprawcy. Nie miał wątpliwości – żywy z tego nie wyjdzie. Co za parszywy żywot! Musi się stąd jakoś wydostać. Tylko jak? Otaczały go egipskie ciemności – pewnie zamknęły go w jakimś obskurnym małym pomieszczeniu, gdzieś na zadupiu. Ostrożnie, aby niczego nie przewrócić, wyciągnął ręce i ruszył powolutku do przodu. Po zaledwie kilku krokach opuszkami wyczuł gładką powierzchnię. Pomacał dokładniej. Szkło. U stóp pojawiło się jaskrawe światło. Było coraz wyżej. Wstrzymał oddech. Serce łomotało jak oszalałe. Po drugiej stronie szyby unosiła się zasłona. Jasność była oślepiająca. Zmrużył oczy. Po drugiej stronie szyby... Oleg pieprzył się z Sonią. Tego było już za wiele. Krzyk uwiązł w gardle, zaczął walić pięściami w szybę.

Popieprzyło mi się pod kopułą. Odbiło mi! – nie mógł uwierzyć, że to co widzi dzieje się naprawdę.

W mgnieniu oka zasłona opadła ponownie skrywając Siergieja w ciemnościach.

Albo umarłem – błysnęło mu w głowie – albo jestem nafaszerowany jakimś gównem. Może ktoś chce by wydawało mu się, że zwariował?

– Czego chcecie? – krzyknął łamiącym się głosem.

– Albo umarłeś – delikatny, kobiecy głos powtórzył jego myśli – albo masz jazdę, albo ci odbiło

– Mam dość! Wypuście! Mam już dość!

Cisza.

Usłyszany przed chwilą głos wydawał się

znajomy. Usiłował sobie przypomnieć do kogo może należeć. Niestety szufladka z tym wspomnieniem została zamknięta a klucz gdzieś się zawieruszył. Zgrzyt... Boże niech to będzie tylko sen. Niech to się już skończy. Powoli wdech i jeszcze wolniej wydech aż powietrze opuści płuca i jeszcze raz wdech - próbował uspokoić skołatane nerwy jedynym znanym sobie sposobem. Zdawał sobie sprawę, że jego umysł jest w stanie skrajnego wyczerpania, o krok od obłąd. Pomogło, w niewielkim stopniu, ale jednak. Znowu mógł jakby jaśniej myśleć. Zgrzyt... Odegnął pierwotny lęk paraliżujący zmysły. Ruszył po omacku przed siebie. Nie ważne co się stanie. Niech się dzieje co chce – nie zamierzał tu gnić i trząść portkami. Czy zaczęły rejestrować niewyraźne zarysy. Przystanął. Zgrzyt... Dostrzegał coraz więcej detali; coś jakby siedzenia. Rozjaśniało się, obraz stawał się coraz wyraźniejszy. Znajdował się w zdewastowanej starej sali kinowej. Gdyby zrobił jeszcze jeden krok do przodu wyróżniłby kolanem w pierwszy rząd. Zgrzyt... Ciarki przebiegły po plecach. Ten dźwięk... czy to tylko kolejne złudzenie czy... Zgrzyt... Tym razem usłyszał bardzo wyraźnie. Ten straszny odgłos. Pobiegł w kierunku, z którego dochodziły zgrzytnięcia. Zgrzyt... Pchnął drzwi. Biuro ojca. Wisielec uniósł lekko głowę, zwisająca z ust stróżka śliny zaczęła się lekko bujać. Posłał Siergiejowi pełne wyrzutu spojrzenie. Zgrzyt...

- Nie jesteś prawdziwy! – mówił bardziej do siebie, pragnąc utrzymać w ryzach skołatany umysł. Z całej siły zacisnął powieki i przez chwilę był w innym świecie, gdzie istniał tylko łomot jego serca – To nie jest prawda. Stał długo kiwając się jakby miał chorobę sierocą i powtarzał te cztery słowa niczym mantrę. Z tego stanu wyrwał go płacz dziecka. Ostrożnie odsłonił oczy i stwierdził, że chyba go już nic w życiu nie zdziwi. Znajdował się w ogromnej pieczarze, w której mimo iż nie było żadnego źródła światła panował lekki półmrok. Wszystko pokrywała warstewka kleistego, połykającego śluzu, który zdawał się żyć swoim życiem. Nozdrza podrażniał ostry słodkawo-kwaśny odór. Spojrzał w

kierunku, z którego dochodziło kwilenie. Zobaczył szeroki korytarz i mnóstwo kopiastych bulw wyrastających z otulonego mlecznobiałą mgłą podłoża. Skrajnie wyprany z emocji, nie zważając na ewentualne niebezpieczeństwo, ruszył zdecydowanym krokiem w ich kierunku. Leżały w nich niemowlęta. większość spała, kilka rozglądało się niespokojnie, któreś darło się w niebogłosy. Gdy odruchowo zerknął w tamtym kierunku serce niemal zamarło mu w piersi; obrzydliwa zielonkawa macka unosiła malca za nóżkę. Po chwili ujrzał resztę paskudztwa – bo nie sposób było określić inaczej to co coś – olbrzymi bezkształtny twór z niezliczoną ilością węzowatych kończyn. Wzdrygnął się gdy do jego uszu dobiegło mokre pląśnięcie. Macki zawirowały i zaczęły z ogromną siłą uderzać niemowlętami o skały jaskini. Kakofonia płaczu, wrzasków i miękkich pacnięć przez moment niemal go ogłuszyła. Czuł jak żołądek zamienia się w ołowianą kulę. Zwymiotował. Istota zbliżała się wymachując zmasakrowanymi szczątkami małych bezbronnych ciałek. Przez ułamek sekundy ujrzał narośl pomiędzy dwiema mackami. Zrobiło mu się słabo - była to jego głowa. Obrzydlistwo używając jego własnej twarzy patrzyło na niego jak dzieciak na mrówkę, którą w ramach dobrej zabawy zgniecie zaraz patykiem. Czuł jak nogi zaczynają odmawiać posłuszeństwa. Upadł na kolana trzymając się za głowę. Spodnie w kroczu robiły się mokre od gorących potoków uryny. Jedna z macek rzuciła zwłokami w jego kierunku. Upadły tak, że widział małą niewinną twarzyczkę wykrzywioną w grymasie przerażenia. Sam nie wiedział jak to się stało lecz nagle zdał sobie sprawę, że główka niemowlaka zmieniła się w głowę jednego z jego dawno nie widzianych, klientów z Piekiełka. Zemdlął.

Zbudziło go przenikliwie zimno, najbardziej dotkliwie dające się we znaki w okolicach kroczu. Wszystko potwornie bolało jakby mu ktoś kości pogruchotał. Uniósł trochę zaropiałe powieki. To był tylko sen... Poczucie relaksującej ulgi rozlało się przyjemnie po całym ciele. To tylko koszmar ćpuna na zejściu. Czuł, że dłużej

tego nie znieś. Skundlił się przez głupią dziwkę. Zniszczyła go swoją zdradą. Przez nią stoczył się na dno. Ilekroć przytomniał zaczynał żałować, że ich wtedy nie zatłukł na śmierć. Głupia suka i pożał się Boże pierdolony przyjaciel. Czasami żałował, że los ich postawił na jego drodze. A może to jego druh Pech maczał w tym swoje paluszki? Jak mógł się tak stoczyć? Przyszło mu teraz wegetować pod mostem i walić w żyłę, a raczej wielką ropiejącą ranę, gdy tylko udało się skołować kompot. Telepało nim; solidnie przemarzł. Próbował się podnieść lecz ręce i nogi odmawiały posłuszeństwa. Skulił się. Postanowił poleżeć, nabrać trochę sił, mimo że bał się kolejnych koszmarów gdyby przyszło mu ponownie usnąć. Wpatrywał się w dogasające palenisko. Przecież nie może tak dłużej żyć. Całe te cierpienia z przeszłości były teraz tak odległe i nieistotne. Liczyło się tylko to by przetrwać. Bardzo chciał znowu normalnie żyć. Skromnie egzystować, może zaryzykować i znowu komuś zaufać, mieć kiedyś rodzinę. W chwilach przytomności wiele razy rozmyślał o sensie życia. Wielokrotnie próbował znaleźć logiczny wspólny mianownik dla tego wszystkiego co go do tej pory spotkało, jakoś sobie to wszystko wytłumaczyć i poukładać. Może jest w tym jakiś głęboko ukryty sens? Może życie to bolesna lekcja, którą trzeba odrobić? Więcej pojawiało się pytań niż odpowiedzi ale jedno wiedział na pewno - nie chce umierać, chce wydobyć się z tego bagna i zobaczyć co jeszcze los trzyma dlań w zanadru. Postanowił, to dziś będzie ten dzień. Jak tylko nabierze trochę sił... detoks. Musi spróbować. Musi!

Chłopiec pieczołowicie budował wieżę z kolorowych, drewnianych klocków. Była bardzo wysoka. Idealna. Ostrożnie, maksymalnie skoncentrowany, ustawiał kolejny element konstrukcji. Wystarczyłby jeden fałszywy ruch, jedno niekontrolowane drgnięcie ręki i musiałby zaczynać od nowa. Jeszcze ze dwa poziomy i ją ukończy. Później rozstawi w różnych zakamarkach, na wszystkich



Przemysław Krupski

piętrach, oddziały plastikowych żołnierzyków i rozpocznie się wojna...
 – Siergiej obiad – w głosie matki słychać było nutkę zniecierpliwienia.
 No nie, zawsze musieli mu przerywać wtedy kiedy najlepiej się bawi. Strasznie go to wkurzało.
 – Zaraz! – odkrzyknął
 – Teraz! Bo powiem ojcu! Wszystko będzie zimne!
 Chyba już nieodwołalnie musi przerwać.
 Mama się wkurzyła, lepiej nie przeginać. Wybiegł z pokoju i ruszył ku schodom. Jak zwykle postanowił zjechać po poręczy. Była idealna; długa i gładka. Często dostawał za to burę – rodzice bali się, że kiedyś spadnie i coś sobie zrobi – ale zbyt bardzo to lubił. Poza tym nie uważał się za taką ofiarę losu co to z byle poręczy spada! Usiadł i już po chwili nabral prędkości. Jego twarz rozświetlił promienny, szeroki uśmiech. Nagle poręcz zmieniła się w ostrze brzytwy...





MARIUSZ KARGUL

Reminiscencje podchmielonego malarza pokojowego (4)

Poczuj fakturę snu
roztaczającego się nad rzeką
zobacz jak ptak obmywa
skrzydła z grzechu w jej nurcie
dotknij tego, co nieuchwytne
między wodą a niebem
patrz ty siedzisz, ona płynie
patrz uważnie a za chwilę
popłyniesz razem z nią
możesz być liściem
niesionym przez prąd
możesz być prądem
niosącym liść

Istnieje przecież prawda
czasu, miejsca i akcji
istnieje też prawda
parcia na szkło
a szkło to tylko woda i piasek
czy warto więc robić sobie
dupę z gęby
dla satysfakcji kilku
wzbudzonych elektronów?
lepiej już pójść nad rzekę,
usiąść na starym pniu
i zrobić gębę z dupy
opowiadając mu o życiu,
które tam właśnie
się teraz znajduje.

Epikryza

i tylko babcia Eugenia
jak przed wiekami
obciąga setę czystej
przegryzając śledziem
ból człowieczej egzystencji

* * *

i upadł anioł święty
już upadł i nie wstanie
daremny jego trud przeklęty
daremne włosów rwanie

więc śmiećcie się demony
tak, śmiećcie do rozpuku
zerwijcie z szat pagony
wyłóżcie trumnę z bruku



JERZY REUTER

ŁEMKO BURY

Pułkownik Lowka Bogdanowycz trzymał mowę. Pozostali, mocząc usta w gorącym piwie, gapili się na starego wiarusa i dmuchali w manierki. Mróz mieszał się z parą i usypiał siwym szronem na wąsach.

- To będzie, jak ja mówił! Wilki wyjdą z tamtej strony – wskazał lufami dubeltówki na las – Pilnujta się strilcy! Jak dobiegną do połowy polany, macie zabijać i uważajcie, bo wilk, to zawsze wilk. Może atakować!
- Bogdanowycz! – Łemko Bury uniósł się w siodle. – Ja podjadę do nagonki, pozwolicie? – Goń! Niech idą w las! Koniecznie! Swołocz naganiać na polanę...! My im powiemy... Zdrastwujcie.

W kotle ustawionym na kamiennym paleńsku gotował się bigos, a miejscowe kobiety królowały przy stołach. Kielbasy, niczym warkocze ukraińskiej narzeczonej, wiły się pomiędzy bochenkami chleba. Bury położył lufę sztucera na zadzie kobyły i pogalopował przez sypki śnieg.

- A teraz pozwólcie, towarzysze, że pokażę wam swoje medaliery. – Bogdanowycz świsnął pod nosem – Oto moje wojsko – rzekł miękko.

Z domu wybiegły dwa wielkie owczarki i usłużnie przysiadły przy nodze Lowki. – Ten mniejszy, Zula, suka moja jedyna – poklepał psa po karku. – Dwa razy życie moje ratowała. Raz na Odrze, zębami mnie zdzierzyła i do niemieckiego brzegu spłynęła. Drugi raz, w Berlinie, przed miną pozór dała – rozłożył długie ręce na boki. – Ot, taka suka maja! Myśliwi zasłuchali się w Bogdanowycza i z podziwem oglądali psy. Każdy wilczur miał szeroką obrożę z mocowanymi do czarnej skóry medalami. – Dzygit – pułkownik poklepał wielkiego owczarka po głowie – to bestia. Na własne oczy, towarzysze, widziałem jak wyrwał jednemu zdrajcy gardło. Szkolony był na wrogie tanki i miał iść z granatami, ale ja go zabrałem do siebie. Usynowiłem, bracia, jak swego. Cztery ordery dostał za męstwo!

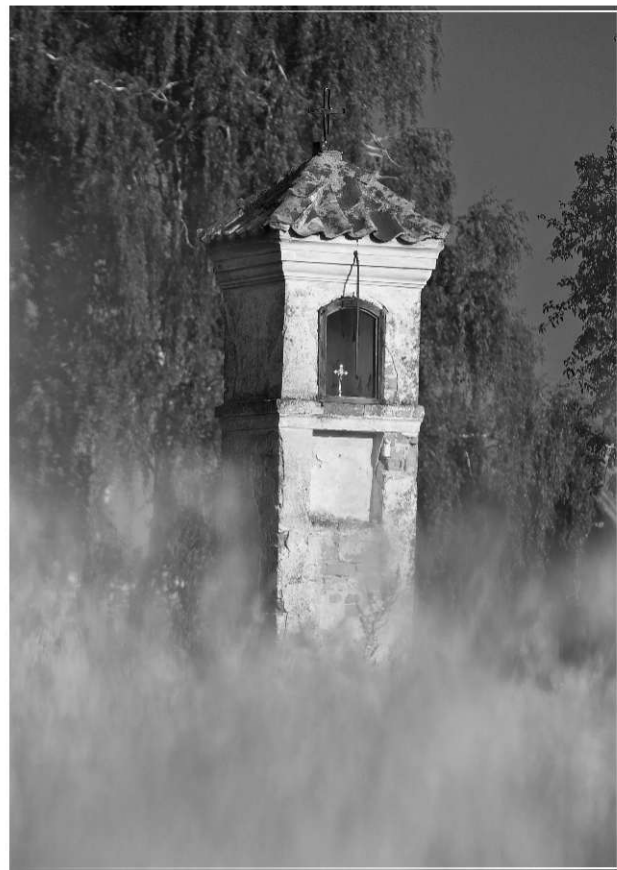
- Swój pies! – zawołał któryś
- Swój pies – powtórzyli inni i skłonili głowy przed Lowką. – U nas takich nie masz.
- Oj... Nie masz.

Młaskali w podziwie i pstrykali palcami. Mróz szczypał policzki i kleił oczy, a piwo grzało pod kożuchami. Kobiety w śmiesznie dużych walonkach, tańczyły nad bigosem.

Od strony lasu przygalopował Łemko Bury. Wyhamował przed Bogdanowyczem, aż koń przysiadł na zadzie.

- Melduję! Nagonka poszła!
- To teraz, moi myśliwce – rzekł pułkownik – stroić giwery i na stanowiska! Jak na złość sypnęło śniegiem. Spadł drobny, a zimny i bił po twarzach do bólu. Wiatr zamiatął drobiny i gęstymi chmurami wirował nad polaną. – Towarzysze! – zawołał pogodnie Bogdanowycz. – Pamiętajcie. Za każdego wilka całe sto złociszów! Płacą bez wyjątku, za każdą sztukę.

Myśliwi zatarli ręce, pochuchali w rękawice i rozeszli się w stronę polany, na ustalone





📷 Katarzyna Kolańska

stanowiska. Każdy wziął w kieszeń flaszkę wódki i garść nabożów. Pożegnani krzyżem na drogę, pogłaskani kobiecą ręką, wyszli na przeciw wilkom. Od strony lasu słychać było wystrzały jak werbelki i pohukiwania ludzi. To szła nagonka. Łemko Bury objechał na swojej kobyle linię i stwierdził bezpieczeństwo. Teraz on był łowczym i jemu podlegało wszystko. Mianował go wczoraj, przy wódce, sam Lowka Bogdanowycz, bohater wojenny i wielka figura w aparacie władzy. Burego otaczał wielki mir. Do dzisiaj był nikim. Jako szeregowy przeszedł swój bojowy szlak i nikt nie powierzał mu takiego zaufania. Szedł zawsze, gdzie mu kazano. Roztrącał na boki wrogów i strzelał w przód. Zawsze zwrócony twarzą do wroga, modlił się o szczęście. „Niemiec moich pleców nie widział”, tak streszczał swoje wojowanie i to było wszystko, co pamiętał. Jedno, co dała mu wojna, to wielkie zamiłowanie do wódki. Idąc na swoje stanowisko, zwinął ze stołu dwie solidne butle majonego spirytusu. Linia stanowisk ułożona w długi półksiężyc, wsparła się plecami o świerkowy młodniak. Przed myśliwymi bielila się łąka płaska jak patelnia. Łemek Bury usadowił się w wygodnym gnieździe i pociągnął z butli. Alkohol wlewał się ogniem palącym piersi. Dawał ciepło. Nad łąką wirowała zawieja, ograniczając widoczność do kilkunastu metrów. Bury precyzyjnie szykował sztucer do pracy pociągając co chwilę z butli. Po tym, jak jego dwaj bracia poszli na wschodnią stronę gór, wiedzeni słowem magnetycznym i wielkim, pozostał sam. Poszli

za hyrem ognistym i ciężkim, które przyszło wraz z końcem wojny. Ktoś przyjechał na koniu i rzucił w spokojnych Łemków jedno tylko słowo – Bandera. Powyciągali spod strzechy karabiny i wyprawieni na drogę kawałkiem słoniny odeszli. Ci, co pozostali, wybrali nienawiść innych, poniżenie w oczach przybywających osadników i podejrzliwość nowej władzy.

Bury ułożył się wygodnie na wiązce słomy i popijając wódkę oczekiwał. Zamieć ograniczała widzenie do połowy polany, a wypity alkohol wchodził w krew i mącił wzrok.

– Bury! – Bogdanowycz sprawdzał stan. – Jesteś?

– Jestem, Bogdanowycz.

– Kulawy!

– Jestem

– Boško!

– Jezdem

– Fiodor!

– Tak toczno

– Pula!

– Jest

– To trzymajcie się, gnaty jedne! Wołki idut! Pasmatrim, kto giero!

Nagonka zaciskała pierścień wokół polany, a palba karabinowa mieszała się z okrzykami naganiaczy. Jazgot wystrzałów dochodził z każdej strony. Bury był pijany. Walczył z opadającą na sztucer głową i ogarniającym go snem. Wiedział, że nie może zawieść pułkownika. Gdy ujrzał wybiegające na środek dwie postacie wilków, pomyślał, że to podwójne, pijackie zwidy. Oddał strzał. Wilk wyskoczył w górę, wyrwany uderzeniem pocisku. „Dobrze widzę”, pomyślał, „został jeden”. Po przeładowaniu zamka oddał następny strzał i na polanie pozostała tylko biel śniegu. Ostatkiem sił wypił kilka łyków wódki i upadł nieprzytomny w słomę.

*

Lowka Bogdanowycz tańczył ubrany w żółte bryczesy wokół Burego. Podskakiwał na bosych nogach i co raz uderzał go w twarz. Bury siedział przywiązany do małego zydła na środku izby, doprowadzony do trzeźwości, natarty śniegiem i polany lodową wodą. Kobiety zasłoniły sobą kocioł z bigosem i popłakiwały chowając twarze w kolorowe zapaski. – Faszysta! – wrzeszczał

Buremu w Twarz. – Faszysta i swołocz!
 – Darujcie – sepleniał z wypływającą ustami
 krwią – Bogdanowycz, darujcie.
 – Widzicie go? Chachoł jeden! Izwinitie
 gadasz? Izwinitie? Bandyto i morderco!
 Skurwisynu, job twaju mać!
 – Darujcie, nic nie wiem... Opil żem się jak
 świnią. Wszystkom zabył.
 – Aleś wódki nie zabył! – Bogdanowycz
 uderzył Burego w brzuch. – Suko!
 Myśliwi siedzieli przy długim stole i w
 milczeniu przyglądali się scenie. Pułkownik
 parował wściekłością, a koszula Burego
 czerwieniła się krwią.
 – Opilem się, pułkownik Bogdanowycz –
 zapłakał – opilem jak świnią... Śpik mnie
 wziął i odebrał życie... Darujcie, towarzyszu.
 Mówił bardzo cicho. Bogdanowycz przykładał
 ucho blisko jego ust i co słowo uderzał
 głową w środek nosa.
 – Masz! Faszysto... Suko!
 Bury wiedział, że zrobił coś bardzo złego, ale
 co? Myślał i nic nie przychodziło mu do
 głowy. Wraz z utratą przytomności
 całkowicie zatracił pamięć. Nawet nie
 myślał, by zapytać. Bardziej niż bicia bał się
 prawdy. Po którymś kopnięciu stracił
 przytomność.
 – Teraz, myśliwce moje – Bogdanowycz
 dosiadł się do stołu – musimy coś
 postanowić. Radźcie!
 – Jak tu radzić? Towarzyszu, on nasz. Łemko,
 tutejszy – łagodził stary Pulek.
 – Izwinitie! – przyłożył rękę do serca Fiodor
 – Pomilujcie! – skłonił się Boško, stary
 kłusownik.
 – A może on faszysta i szpion od Bandery? –
 zwątpił Kulawy.
 Pułkownik podszedł do kotła i zagarnął łyżką
 bigosu. Przez chwilę chodził mlaskając
 gołymi stopami o klepisko.
 – Wy tu czegoś nie zrozumieli – zaczął
 łagodnie, – To morderca i bandyta!
 Swołocz! – krzyknął i kopnął w
 zakrwawioną twarz Burego. – Ja tu coś
 wymyśle, robaczki moje! Nie takich ja
 sprawiał, nie takich jak ten.
 – Może wódki dać? – zapytał Kulawy. –
 Napijmy, może coś wejdzie w łeb.
 – Dawaj! Bigosu też podajcie.
 Jedli i przepijali. Każdy myślał o Bury i snuł
 swoje domysły, co do jego losu. Znali
 Bogdanowycza i wiedzieli, że jemu nie
 wolno sprzeciwiać się, bo to jak skazujący



📷 Łukasz Szymański

wyrok. Pułkownik był wielką „figurą” i
 trzymał władzę w całej okolicy. Gdy już
 pojedli i wypili kilka butelek wódki, Bo-
 gdanowycz powstał i rozkazał ocucić
 Burego. Kulawy wylał na nieprzytomnego
 wiadro wody. Bury wracał do świadomości.
 – Widzisz ty mnie?! – zapytał pułkownik
 pochylając się nad Bury. – Widzisz?
 Dywersancie!
 – Widzę, towarzyszu.
 – Bracia myśliwce! My zrobimy, jak powiem –
 usiadł i przepił – jak wszystko, co tutaj
 powiem. Buremu zmienić gacie i koszulę.
 Dać mu na nogi sapożki, ale nie takie na
 śnieg, na drogę. Dać mu takie cerkiewne,
 cieniutkie i płytkie. Mogłem swołocz
 wykończyć, ale... – Na to „ale”, wszyscy
 przyklasnęli, bo już wiedzieli, że to jedno
 słowo, ma większą wartość niż życie.
 – Mogłem go wykończyć – ciągnął mowę
 Bogdanowycz, – ale mam lepszy pomysł –
 uśmiechnął się i zatarł dłonie. –
 Podkurować mi go do rana, tak żeby stał
 na własnych nogach. A potem będzie
 zabawa. Rzekłem!

*

Obudzili go wczesnym świtem. Kazali ubrać się
 w bardzo cienki garnitur i buty dali, jak z
 papieru.
 „Bogdanowycz kazali”, mówili na
 usprawiedliwienie i wciskali do kieszeni
 kawałki kielbasy. Bury był obity z każdej
 strony do tego stopnia, że w bólu nie rozu-
 miał, co się dzieje.
 – Idź na Caryńską – szepnął mu do ucha
 Fiodor – tam bracia twoi ze strilcami



📷 Z. Marek Piechocki

siedzą. Idź.

Przed domem myśliwi stali w szyku. Każdy z nich trzymał strzelbę wspartą na ramieniu. Gdy wyszedł z piwnicy, zdjęli czapki na powitanie. Bury modlił się o szybką śmierć.

- Bury! – odezwał się pułkownik. – Dywersancie jeden! Swołocz jesteś faszystowska i zdrajca! – Bogdanowycz! – odparł Bury. – Ty mnie faszystą nie nazywaj! Ja krew swoją przelewałem! Zabij, jak żem winien, ale nie obrażaj!
- Widzicie? Jaki gieroj! – Gieroj! – potwierdził Bury. – Katujesz mnie! Krew mi upuszczasz niewinnie! Ludzie patrzą i widzą.
- Gdzie te ludzie? Te tutaj, to ludzie? Ty błądź jesteś, jak oni wszyscy!
- Tyś błądź, Bogdanowycz. Jeść ci tutaj dają!
- Patrzcie! Jaki się znalazł!
- Kończ, Bogdanowycz!
- Kończ! Faszystowski ryju! – odbezpieczył pistolet i przystawił Buremu do głowy. – Dam ci szansę! Poznaj krasnoarmiejskie serce... Obyś sam zdechł! Pójdiesz sobie, rybeńko, w las. Tak. Pójdiesz w las. Dam ci

dwie godzinki, job twaju mać, dwie godzinki. Po czasie pójdziemy za tobą. Jak do nocy zdybiemy, to masz w czapę!

Rozumiesz? W czapę! Będzie polowanie! Ot!

- Rуска świnia! – Buremu było już wszystko jedno. – Enkawudzista jesteś! Podły człowiek.

Bogdanowycz zbłądł jak śnieg. Myśliwi uciekli do domu i przyglądali się zza firanek. Odważne kobiety stały obok, owinięte kolorowymi chustami.

- Idź już! Bo ubiję! Łemko Bury odwrócił się na pięcie i poszedł, w cienkich bucikach, w marynarce narzuconej na gołe ciało.
- Polaczki do mnie! – Bogdanowycz krzyknął w stronę domu. – Ktoś musi pochować moje medaliery! – Przez chwilę myślał, bijąc się szpicrutą po bucie. – A oskórować przed zakopaniem! Zapłacą jak za wilki, po całe sto złociszów!





WERONIKA JEDRZEJCZAK

*** (mojej Babci)

starsze panie także marzą
o miłości
na przystankach
na ławkach parkowych
jesienią

przerzucają pożółkłe stronnice
romansów
przez cienki papier skóry
namiętność się wkrada
w ich starość

ciało jeszcze pamięta
zapach letniego wieczoru
usta znają smak ust
dotyk wciąż czuje dotyk

pierś zaszuszone
jak owoc granatu -
muzealny eksponat
młodości

starsze panie wracają do domów
ciepłych jak piece
gdzie na ścianach
ich pamięć
w smutnych kolorach sepii

przesłodzona herbata
i jeszcze coś trzeba zrobić
i kogoś jeszcze kochać
cisza
i nikt nie puka

to proza

a na pergaminie skóry
cieniutkie linie żył
składają się
w poemat

1944 (uchodźcy)

Warkocze naszych dziewcząt kiedyś będą
białe,
jak nasze drżące ciała na mękach rozpięte,
jak oczy powleczone strachem, oniemiałe,
jak pióropuszem skrzydeł anielskich -
muśnięte.

Łzami naszego bólu będą karmić dzieci.
Twardym bluszczem pamięci w ich serca
wrośniemy,
który kiedyś zasadzą dni przyszłych poeci.
Takie jest co przed nami - a dzisiaj -
giniemy.

Młodość z wyżyn strącona pociskami

spada
do nóg, które uchodzą - czarnymi wodami.
I raz po raz rozbrzmiewa nagła kanonada,
umierających ulic, szarpanych spazmami.

Miasto nasze umarło (bo myśmy umarli),
i purpurowe łuny nad dachy nas wzniosły,
gdyśmy z nocy kanałów ku słońca latarni
biegli, przez ogród śmierci, trupami porosły.

Warkocze naszych dziewcząt kiedyś będą
białe -
rozplatane przed lustrem - drżącymi
palcami,
stęsknione pocałunków, smutkiem
spopielale,
w pokojach samotności długimi nocami.

A uchodźcy strąceni poeci
pozostaną sami



TOMASZ KRZYKAŁA

O HODOWLI I PIELĘGNACJI ROŚLIN DONICZKOWYCH I INNYCH

Kaktus

To nie jest łatwe, niewątpliwie, taka hodowla i właściwa pielęgnacja kaktusa. Rośliny bywają bardzo trudne i wymagające, co niewątpliwie oznacza, że jak mało kto potrafią przysporzyć problemów. Jeden mój znajomy miał w domu dość dużego kaktusa i nie wiedział jak się z nim obcho- dzić. W końcu ktoś tam gdzieś, w jakiejś kwiaciarni doradził mu, żeby stworzył mu, albo przynajmniej próbował mu stworzyć warunki jego naturalnego środowiska, czyli meksykańskiej pustyni. Od tego momentu mój (świętej już pamięci) znajomy rozsypał w domu piach, ponalepiał na ścianach fototapety przedstawiające dalekie wydmy, poodkręcał grzejniki tak, że było u niego zawsze koło 50°C, aż wreszcie, widząc, że kaktus zaczyna marnieć (o ironio!) chodził po domu wyłącznie w skórze kojota. Wreszcie, któregoś dnia takiej opieki kaktus nie wytrzymał i rzucił się na mojego znajomego, ukuł go porządnie w klatkę piersiową, tamten stracił równowagę i upadł uderzając głową o kant stołu i koniec – umarł! Natomiast kaktus przepadł bez wieści. Moje prywatne dochodzenie wykazało, że był to ewidentny przypadek zabójstwa i nie miał nic wspólnego z wypadkiem – otóż kaktus był z USA, a nie z Meksyku, nietrudno więc zrozumieć jego furie po przypisaniu mu tak poniżającego pochodzenia. Rósł na pustyni skalistej, a nie wśród piaszczystych wydm na tapetach sfotografowanych, tak a propos, w Afryce, do tego zaś w jego naturalnych warunkach nie występowały kojoty! To tyle odnośnie motywacji tej zbrodni w głębokim afekcie. Któregoś dnia, kiedy oglądałem jakieś telewizyjne relacje dotyczące wojny w Iraku mignął mi na ekranie – ależ tak! To był on – kaktus mojego znajomego! Stał na ulicy i szpiegował – najprawdopodobniej pracował dla Amerykanów – jako sposób maskowania wybrał noszenie na sobie

bananów – przebrał się za bananowca! – ale ja i tak go poznałem. To był on!

Arbuz

Dziś rano postanowiłem ubrać się do pracy jak arbuz. Założyłem berecik z antenką i zieloną, roboczą pikowaną kurtkę, która mnie pogrubia. Na kurtce kredą namalowałem jasne, pionowe pasy. Nie bardzo wiedziałem co zrobić z nogami, bo one nie pasowały do wizerunku arbuza, który jak wiadomo nie posiada specjalnie wyodrębnionych kończyn. Problem ten rozwiązałem poprzez próbę upodobnienia swoich nóg do pędów arbuza – ja mam nogi, których nie ma arbuz, podczas, gdy arbuz ma pędy, których nie mam ja; możliwość kompromisu zaistniała sama przez się. W tym celu założyłem ciemnozielone, robocze, drelichowe spodnie a stopy obułem w brązowe, wykonane ze skaju podobnego do kory drzewa buty, jeśliby zaś ktoś jeszcze odczuwał swoisty niepokój patrząc na moją osobę, to na butach widniał stosunkowo duży napis „relax”, który jak sądzę załatwiał tego typu wątpliwości i niepokoje. Pod kurtkę założyłem oczywiście jadowicie czerwony sweter na którym domalowałem markerem stosunkowo dużo czarnych kropek. To miał być miąższ. Tak ubrany wsiadłem na rower w celu udania się do pracy, ale zsiadałem co rusz z niego z powodu napadów śmiechu. Proszę sobie wyobrazić – byłem jedynym na świecie egzemplarzem arbuza umiającym jeździć na rowerze! Jadąc przez miasto napotkałem stoisko, na którym leżało mnóstwo stłoczonych moich krewniaków; pomachałem im i pojechałem dalej i rozradowanym sercem – było nas bowiem tak wielu! Potem minąłem sklep z ziołami - odwróciłem głowę ze wstrętem – jako arbuz nie lubię zielska! Dojechałem do pracy spóźniony i dostałem porządną reprimendę od szefa. Zignorowałem go. Jako arbusowi były mi obojętne jego

opinie, a poza tym czułem, że rosnę w siłę – nas arbużów jest tak wielu!

Fiołek

Kiedy moja narzeczona podarowała mi fiołka poczułem się nieco tym faktem zaskoczony i (nie ukrywajmy) zażenowany też! Moje zażenowanie wynikała z dwóch powodów – po pierwsze moja narzeczona kupiła sześć sztuk rzeczonych fiołków (paragon znalazłem podczas standardowej kontroli w jej torebce) i z niejakim niepokojem myślałem o tym, co zrobiła z pozostałymi pięcioma, po drugie to był bardzo wyrosnięty fiołek – to był fioł co się zowie i niniejszym moja narzeczona spowodowała nominalnie zaistnienie okoliczności, że „dostałem od niej fioła”, jakkolwiek kolokwialnie by to nie brzmiało. Od tego dnia trzymałem mojego fioła w ukryciu, a na światło dzienne

wydobywałem go tylko przy jej przyjściu, bo nie wypadało inaczej (raz mi inaczej wypadło niż wypaść powinno – najedliśmy się wtedy porządnie stresu – ale po szóstym z kolei teście ciążowym, który nic nie wykazał trochę się uspokoiiliśmy! Ale to już inna historia.) Nie mniej jednak dbałem o swojego fioła jak należy – codziennie około czwartej piętnaście, zanim ktokolwiek z mojego bloku był na nogach wyprowadzałem fioła na dwór, kładłem go na trawniku, trochę z nim rozmawiałem, uczyłem go podstawowych prawd życiowych, dekalogu, podstawowych prawd wiary, podstawowych prawd ekonomii i zasad współżycia społecznego (tego jednak uczyłem go krótko – mnie roślinki nie interesują, a i on nie wykazywał chęci!). Raz, kiedy go wyprowadziłem padał rzęsy deszcz – ucieszyłem się, bo dało mi to sposobność „Naturalnego Planowania Pielęgnacji” bez uciekania się do sztucznych metod, potępianych przez Zjedno-



czone Narodowo-Chrześcijańskie Koło Ogrodników Polskich. Potem zamykałem fioła w toalecie, napuszczałem wody do miseczki i kładłem ją obok doniczki z zamiarem wykształcenia w mojej roślinie nawyku pracowitości i przedsiębiorczości, a nie tylko biernego oczekiwania aż ją ktoś oleje z góry, do tego w całkowitym bezruchu. Nie mniej jednak, tak jak murzyn jest czarny, jak Żyd taki jak ci między którymi żyje, tak i mój fioł miał swoją, wrodzona bierność silnie ugruntowana przez naturę i nie potrafił sam sobie zdobyć wody. Mimo takiej szeroko zakrojonej i z poświęceniem przeprowadzanej opieki, mimo tego, że sam go zacząłem podlewać, zaczął marnieć. Byłem zszokowany i przerażony. Kiedy w zetknięciu z całą tą sytuacją narzeczona napomknęła, cała we łzach, o ewentualności przesunięcia terminu ślubu a nawet rezygnacji z moich usług, postanowiłem zadziałać z zimną krwią i niemiecką precyzją. Najpierw zadzwoniłem do proboszcza z prośbą o wsparcie, ale on błyskawicznie się rozłączył. Dopiero po siódmym z kolei telefonie zdołałem mu wytłumaczyć, że nie chodzi mi o wsparcie finansowe i proboszcz zgodził się udzielić mi wsparcia duchowego. Potem zamówiłem msze w dziesięciu klasztorach. Potem zadzwoniłem do imama z Marsylii, który zgodził się (za pewną niewielką sumą), pomodlić z wiernymi w meczecie w Dijon. Potem przelałem pewną sumę na konto przywódcy duchowego afgańskiego odłamu Al-Kaidy, o którym mówiono, że leczy i zabija na odległość – mnie chodziło o to żeby wyleczył, ale po zastanowieniu (z dopłatą) podałem jeszcze adresy paru znajomych, już w innym celu. Skontaktowałem się też z paroma rabinami w Izraelu, którzy również obiecali mi serwisową pomoc duchową. Potem (po osobistej rozmowie telefonicznej) z Dalaj Lamą zasiadłem do telewizora obejrzeć razem z moją rośliną osobiście przygotowana mi przez rosyjskiego uzdrowiciela kasetę video dla „innych form życia”, cokolwiek by to miało znaczyć. Pomogło!!! Czy to dlatego (jak mówią złośliwi) że kwiat dostał wreszcie trochę światła, czy za pomocą

wsparcia duchowego – nie wiem! Dosyć, jeśli ze wzruszeniem powiem, że narzeczona do mnie wróciła, a życie jest piękne, ponieważ dzięki własnej upartości, trosce, samozaparcu, determinacji i wierze oraz pomocy wielu kręgów religijno-społecznych ciągle mam swojego fioła, a nawet ostatnio on zaczął się rozrastać! Teraz spędzam życie w spokoju, jeśli nie liczyć paru chwil porannego sprzątania pokażnej sterty ofert od rabinów i klasztorów żebraczych. Za parędziesiąt lat, kiedy spłcę imama osiągnę życiową stabilizację – już teraz jednak moje życie wygląda dużo lepiej, bo pomoc z Afganistanu pozbawiła mnie wielu wrogów – właściwie mam już tylko przyjaciół. Samych przyjaciół.

Baobab

Wczoraj, nie bez obaw
Kupiłem baobab
I wczoraj go zasadziłem
Dzisiaj tak wyrósł, że aż się zdziwiłem!

Wielki się zrobił
cały dom zacienił
Ma pień jak wielka bania
Takiego kupiłem drania!

Dzisiaj już wszyscy go widzą
Niektórzy się wstydzą
A niektórzy dziwią
Inni widząc baobab łzę uronią tkliwą!

Zlatują już do niego ptactwa zastępy
Afrykańskie orły i pustynne sępy
A na ziemi - Nikt się tego nie spodziewał
wcale!
Pojawiły się już hieny i szakale.

Tam zaś, gdzie widać konary kręte
Zauważyłem już murzyńską piętę!
A po pniu się zsunął jak w biblji kusiciel
Piękny, gruby, wielki wąż Boa-dusiciel!

Małpy mi wyją w listowiu,
Gdy księżyc na nowiu,
A przed świtem (wstałem wcześniej dla zabawy)
Lwy warczały załatwiając swoje sprawy!

Kiedy jednak, by Baobab nie pozostał taki mały

Deszcz na niego tropikalny lał dzień cały
Moczając wszystko dookoła
(Ach, cóż to za życia szkoła)

Powiedziałem „Nie” I postanowiłem, że
Kupię siekiere
I drzewo zetnę!

Zrobiłem, co zamierzałem
Po siekiere się wybrałem
Ściąłem drzewo, które chlasło Na ziemię przed
jedenastą!

Dzisiaj, już nie dla zabawy
mam 4 sądowe sprawy.
A do tego kupa zwierza Wpadła w bloku do
Alkierza.

Trawa

Trawa była moim wrogiem – wiedziałem o tym od najmłodszych lat, ale dopiero teraz postanowiłem zrobić z tym porządek! To nie było proste zadanie i oceniając sytuację zdałem sobie sprawę z ogromu czekających mnie wyzwani! Wróg był wszędzie i nie było sensu ukrywać przed sobą i innymi tego oczywistego faktu. Jego działania były wszędzie widoczne, ale wiedziałem z doświadczenia, że on działa powoli. To był szansa dla mnie, dla mojego domu, dla nas wszystkich. Wieczorem zebrałem się z całą rodziną, żoną teściową i dwojgiem dzieci (synem i córką) i ogłosiłem stan wyjątkowy oraz zakomunikowałem dobitnie konieczność gromadzenia zapasów. Żona spojrzała na mnie zmęczonym wzrokiem, ale ja wiedziałem czego się po niej spodziewać! Wiedziałem, że coś takiego mnie spotka!

- Kobieto! – krzyknąłem – Twój brak entuzjazmu działa jak sabotaż w naszej trudnej sytuacji! Lada chwila będziemy odosobnieni, odcięci od całego świata i on naszego stylu życia! Lada chwila poczujemy grozę i lęk! – Mówiąc poczułem wzruszenie i spojrzałem ze łzą w oku na dzieci i na obejmującą je teściową –

Poczujemy strach i rozpacz! – Łza stoczyła mi się po policzku, a dzieci spojrzały po sobie – Ale już więcej nie ustąpimy, nie oddamy nawet piędzi ziemi! Nie pozwolimy by wróg zabrał nam wszystko! – Ostatnie zdanie wykrzyknąłem z zapalem – Kiedy wróg posuwa się tak daleko, to jasnym staje się fakt że jemu chodzi wyłącznie o to, by nas zniszczyć! Ale nie traćmy Ducha! Nie traćmy Ducha! – uniosłem ręce jak Mojżesz na filmie, który widziałem ostatnio i który bardzo mnie wzruszył. Spojrzałem na dzieci; stały z rozdziawionymi ustami. Spojrzałem na teściową, ale ona rozmawiała z moją żoną o nowej, reklamowanej właśnie w telewizji przyprawie do pulpetów. Westchnąłem ciężko. Konkretnym plonem tego dnia zostało uchwalone jednomyślnie (1 głos za, 4 głosy wstrzymały się od głosu) 24-godzinne odtwarzanie muzyki patriotycznej w całym domu, gromadzenie zapasów i codzienne dyżury wartownicze przy oknach na strychu. Następnego dnia obudziłem się rano skoro świt i za pomocą szpadla utorowałem drogę przez podwórze usuwając przydeptane szpalery wrogów wraz z korzeniami. Zrobiłem głęboko wciętą i pozbawioną wroga ścieżkę do garażu. Około 10 rano przebiegliśmy z żoną do samochodu i pojechaliśmy do miasta poczynić odpowiednie zakupy. Kupiliśmy oczywiście głównie żywność i wodę, znieśliśmy to wszystko do samochodu, a wtedy, zostawiając żonę na chwilę, pobiegłem jeszcze do sklepu sam, zakupiłem cztery, wielkie, pełne butle gazowe na propan-butan, kazałem zapakować w drewniane pudło, zabić gwoździami i zabrałem to pudło do samochodu kupując jeszcze przy kasie końcówkę do przenośnego miotacza płomieni (była w promocji). Żona spojrzała na to pudło, a potem na mnie z wyrzutem, ale zabroniłem jej mówić cokolwiek, co odebrało by mi ducha, w duchu zaś (tym samym, którego nie odebrała mi żona!) cieszyłem się, że mam ostatecznie dobre zaplecze do walki. Następnego dnia zamknąłem na klucz bramę od zagrody, a sam klucz wyrzuciłem do studni. Od tego

dnia dzieciom zabroniłem chodzić do szkoły (zresztą i tak były jeszcze za małe), zabarykadowałem drzwi chałupy i w rytmach wojskowych marszów zacząłem na szkicu sytuacyjnym – własnoręcznie wykonanej mapie mojego gospodarstwa – planować ofensywę pod angielsko-języcznym kryptonimem „Akcja Grassless”. Było to „Ostateczne Rozwiązanie” – oczyszczenie z trawy całego gospodarstwa, a potem może nawet całej wsi!!! Planowanie zajęło mi dwa dni, po których nadszedł gwałtowny kryzys i rozpoczęcie działań zbrojnych. Wyglądało to następująco:

Dzień 0

- 5.00 rano – syn budzi mnie w godzinie zmiany warty i prowadzi na strych. Wyczułem, że coś się stało, bo normalnie on kładł się spać, a na strych szedłem sam. Tym razem, wyraźnie przejęty poszedł ze mną.
- Tato – powiedział – nie denerwuj się tylko, weź sobie relanium (postanowiłem od razu uchwalić w domu zakaz używania zwrotu „tato weź relanium”). Syn mój otworzył okienko strychowe i... zamurowało mnie nagle i przejęło zgrozą to, co zobaczyłem! Tam, gdzie zagiął się kawałek blachy i wiatr naniósł ziemię, rosła sobie bezczelnie kępka trawy! W moim domu, na moim strychu, tuż nad sztabem rosła kępa trawy, która mnie pewnie podsłuchiwała impertynencko i pewnie przekazywała informacje innym trawom na podwórzu, a może i dalej! – Chodzi mi o to, tato – mówił dalej mój syn – że kiedy ją próbowałem wyrwać, to oderwałem jedno mocowanie rynny.
- O, nie! – wydarł mi się okrzyk rozpacz – To prowokacja! To prowokacja czysta! – złapałem syna za ramiona i zatrząśłem nim w desperacji. Rozpłakał się i uciekł na dół. Dobrze zrobił, teraz chciałem być sam! Jak w malignie zbiegłem na dół zaraz po nim.
- 5.30 rano – odbiłem wieko skrzyni z butlami w garażu, za pomocą końskich rzemieni wykombinowałem sobie zgrabny sposób powieszenia butli na plecach i wkręciłem w nią końcówkę miotacza. Założyłem okulary słoneczne (innych nie miałem) i wyszedłem na podwórze. Wszystkie żdzbla

traw się nagle pochowały! Na dworze było dziwnie ciemno, nic nie było widać i nagle otrzymałem silny cios w głowę. Okazało się, że z powodu skrajnie zabrudzonych szkieł w okularach (nie używałem ich chyba z rok) wyrąbałem głowę w futrynę przy wejściu. Po zdjęciu okularów pierwszą rzeczą, którą zobaczyłem było zarośnięte trawą podwórk.

- 5.45 rano – W domu żona spojrzała na mnie, jakby zobaczyła Marsjanina, ale powiedziała tylko, że skończył się jej papier toaletowy i musi jechać do miasta – zwarzywszy na brak klucza i na całokształt sytuacji domowej oraz poranną agresję traw w natarciu, jej argument był oczywiście buntem przeciw resztkom porządku i próbą degradacji morale do walki. Wtedy też kichnęła moja córka.
- Co ona - spytałem żony – chora?
- Nie – żona spojrzała na mnie z pewnym przestachem i rezerwą – ma tylko katar sienny.
- A więc trawy zaatakowały również moje dziecko! Jeszcze raz były szybsze. Ostatni raz!
- 5.50 rano – Strych. Rozpoczęcie działań. Ustawiłem rurę miotacza na wprost kępy rosnącej na dachu, ustawiłem minimalny strumień ognia o naciśnięciu spustu, ale nie zadziałało. Podkręciłem gałkę na większy strumień, ale ciągle bez żadnego rezultatu. Wreszcie zwiększyłem moc do maksimum i wpadło mi do głowy, że być może nie zdjąłem blokady przy zaworze. Tak było w istocie. Strumień ognia gwizdnął z taką siłą, że osmalił mi brwi i wąsy, a rura miotacza wypadła mi z ręki i rzygając ogniem zaczęła tańczyć jak głupia po podłodze przy moich nogach osmalając mi buty i paląc sprzęty. Udało mi się ją w końcu chwycić, ale kiedy próbowałem zmniejszyć strumień ognia zapaliłem cały dach i urwałem gałkę regulacji blokując moc na maksimum. Z dziką rozkoszą skierowałem ogień na tą kępę za oknem i spaliłem ją do cna, podobnie zresztą jak samo okno. Zostałbym tam i wypalił całą butle kierując strumień za okno, gdyby nie to, że dachówki zaczęły mi lecieć na głowę. Szybko więc zzułem butlę i wywaliłem za okno. Słyszałem jak głucho



📷 Paweł Żochowski

spadła na trawnik! Sam rzuciłem się na schody, żeby uciec ze strychu, ale nim jeszcze doleciałem do pokoju poniżej usłyszałem paniczny krzyk teściowej i dzieci! – Uciekajcie!! – krzyknąłem widząc jednak, że nie bardzo jest jak uciekać, bo drzwi wejściowe stały w płomieniach zasilane dzikim podmuchem wylotu miotacza, skierowanego na nie od zewnątrz. Do powszechnej wrzawy doszły jeszcze krzyki żony, która wyszła właśnie z łazienki. Nie namyślając się wiele złapałem dzieci za ręce, syna za prawą, a córkę za lewą, ale pomyślawszy chwilę, czy to aby nie dyskryminacja płci pięknej, zmieniłem ustawienie dłoni i rozpocząłem ucieczkę. Taboretą wybiłem (z dużą przyjemnością – nie będę ukrywał) okno w jadalni. Wypchnąłem oknem syna, córkę żonę, a potem próbowałem teściową, ale wtedy mój syn znowu zjawił się w jadalni, czarny jak diabeł, krzycząc żebym wybrał inne okno, bo wrzuciłem ich wszystkich

prosto do piwnicy z węglem, której zapomniałem ostatnio zamknąć. Za nim wróciła (też czarna) córka i żona. Zmieniłem okno, jeszcze raz ich wszystkich wyrzuciłem.

6.30 rano – podwórze – Walka w toku. Dom płonął już cały jak pochodnia. Siedzieliśmy chwilę dysząc ciężko i patrząc ja woły. W końcu garaż zajął się od dachu domu sam przez się, a w garażu był samochód i były butle z gazem. Żona z dziećmi i zeszywniała z bólu teściową (przypadkiem wyrzuciłem ją przez okno głową w dół) rzuciły się do bramy i próbowały właśnie ją otworzyć mimo braku klucza. Gorączka panująca na podwórzu była niemiłosierna, ale to mnie nie przerażało, pomimo, że przerażało to moja rodzinę – ja widziałem tylko żółtą trawę wysychającą z gorąca! Byłem górą – lata moich upokorzeń, klęsk i poczucia niższości kończyły się teraz sromotną klęską mojego odwiecznego wroga. Ta jego klęska musi mieć

swoją cenę! Rozpętał mi piekło i zniszczył plon pracy całego życia, ale sam przy tym ginie! To piekło unicestwia też jego samego! Wystarczyło zdobyć się na odwagę, na skok w prze-paść, na którego bałem się zdobyć całymi latami, i oto stopniowo nadchodzi zwycięstwo! Na razie jednak jeszcze trzeba było walczyć! Wience i przemowy przyjdą później! Wstałem i pobiegłem do garażu. Pomimo przeraźliwego wycia buzującego już na poddaszu ognia i okropnego gorąca, odpaliłem silnik i wyjechałem na podwórze. Mój dom właśnie się zapadł i sterta płonących desek przykryła buchającą wciąż jeszcze ogniem butle z dokręconym miotaczem. Żona z dzikim wyciem szarpała za rygiel bramy, teściowa osłaniała dzieci wspinające się rozpaczliwie na płot obok bramy. Otworzyłem drzwi auta i pomimo wycia płomieni krzyknąłem, żeby się odsunęli. Zamierzałem rozwalić bramę samochodem, tak jak na amerykańskich filmach i już sobie nawet wyobrażałem ujęcia z kamery, ale wtedy zauważyłem kępkę TRAWY przy słupku bocznym i niewiele myśląc wjechałem w ten słupek. Samochód jęknął, zbiła się przednia szyba, obróciło mnie o 90 stopni i rozwalilem bramę bokiem samemu tarasując dokładnie przejście. A jednak samochód był dużo niższy i zarówno dzieciaki, jak i żona uciekły po masce. Tak samo teściowa (miała problemy, żeby się wspiąć na tą maskę, więc szybko wysiadłem i pomogłem jej kopniakiem). Po chwili już widziałem jak wszyscy uciekają przez pola w kierunku wsi. Byli bezpieczni, a ja mogłem działać już spokojnie.

7.00 – końcowa faza walki. Po chwili rozległa się głośna eksplozja i szczątki butli, której używałem na strychu, z głośnym furkotem wbiły się w płot kilka metrów od miejsca, gdzie stałem. Kilka chwil potem zapadł się garaż i stał się cud! Oto bowiem z rumowiska, w które zamienił się garaż, wypłynęła szeroka struga ognia i zaczęła spływać szybko, buzując ogniem, w kierunku szczątek bramy z zakleszczonym między słupkami samochodem, czyli innymi słowy w kierunku miejsca, gdzie stałem. To była benzyna z plastikowej

beczki w garażu! Moje zapasy na czarną godzinę – oto godzina nadeszła i oto są moje zapasy! Wszedłem na maskę i z głębokim wzruszeniem obserwowałem, jak trawa na podwórzu zamienia się w czarny popiół – benzyny było tyle, że nie zatrzymała jej nawet głęboko wykopana ścieżka z nieistniejącego już domu do nieistniejącego już prawie garażu, jaką zrobiłem parę dni temu. Kiedy rwąca rzeka ognia przepaliła oponę w samochodzie i on gwałtownie usiadł z jednej strony, zeskończyłem na suche miejsce obok i zaraz padłem na ziemię jak długi, bo w powietrzu zagrzmiwały trzy wielkie eksplozje od butli gazowych sypiąc mi na głowę kupę iskier i tworząc w powietrzu skołtunioną zawiesinę dymu, popiołu desek i płonącego deszczu, urozmaiconą spazmatycznymi gwizdami latającej, zdeformowanej blachy, która była kiedyś tymi właśnie butlami! Oszołomiony wstałem, a wtedy od strony wsi dobiegł mnie odgłos syren i w dali zamigotały pulsujące światelka. Nadciągała odsiecz. Wtedy właśnie pękło kolejne koło i nagle sam samochód eksplodował głośno odrzucając mnie ponad płotem, gdzieś daleko.

Zakończenie

W szpitalu powiedziano mi, że w ambulansie mającym ciągle o resztkach trawy wzdłuż płotu i na podwórzu. To fakt – tam są miejsca, w których wróg mógł przetrwać, ale nikt mi nie powiedział, czy zgodnie z moją radą istotnie go usunięto. Jeśli nie, to sam to zrobię, kiedy mnie już wypuszczą. „Akcja grasless” była wielka, a jej skutkiem stało się zwycięstwo rodzaju ludzkiego na skalę nie spotykaną od czasów Rewolucji Francuskiej – kolejna, wielka karta w dziejach ludzkości została napisana, kolejny etap dziejów właśnie się zaczął





EWA KORCZYŃSKA

Nad suchym stawem

dedykowany dla Radzyńskiego Stowarzyszenia Inicjatyw Lokalnych

Nad suchym stawem
w błotnym śnie
płynęły chmury
jak ciemne łabędzie
zatroskane o festiwal
gwiazd

Zawieszone u burty
pragnienia
rozjaśniły senność
jesiennych traw

Śmiałe marzenia
ukołysały wirujące
z wiatrem liście

Jak lotne panny
roztąnczone wałki
żegnające spokój
radzyńskich dni



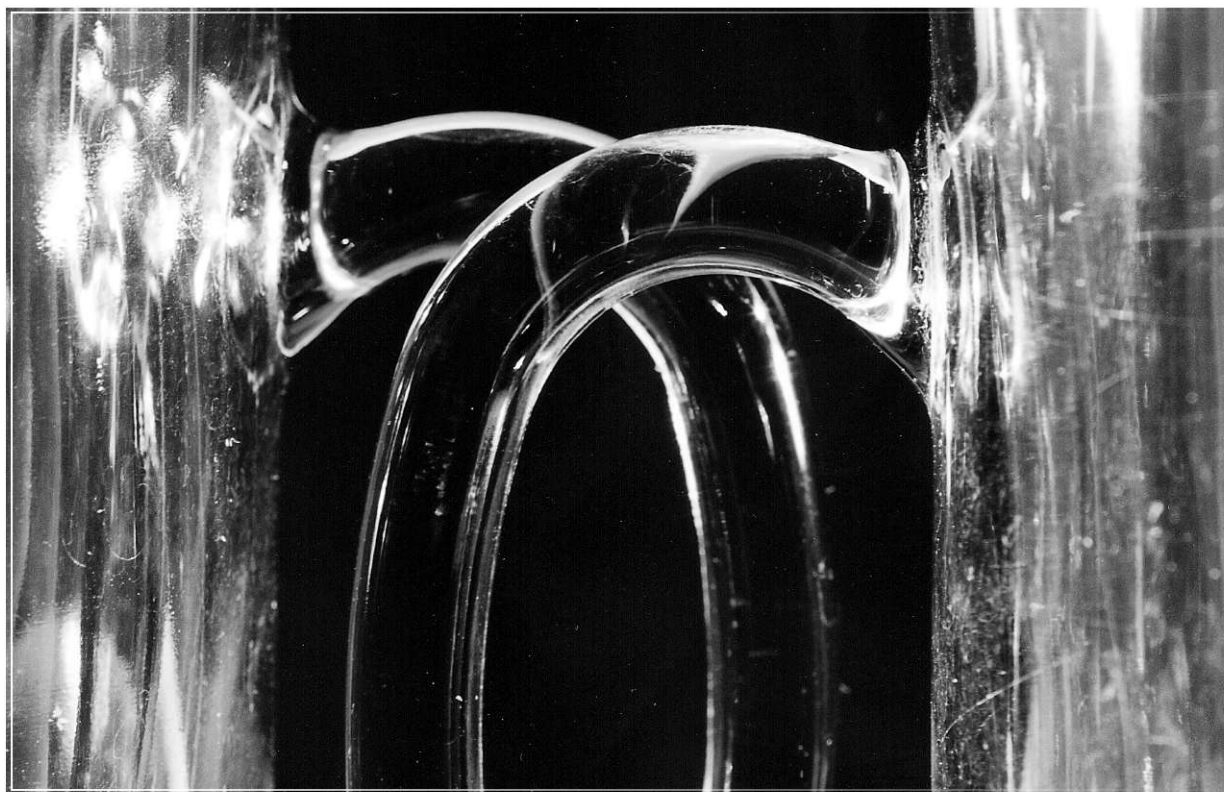
MAURYCY WITKOWIAK

INTIMISSIMI (FRAGMENT) *

Po długich przemyśleniach uznałem, że zaskoczę wszystkich i założę na okazję spotkania u Prince'a granatowy frak. Oczywiście, gdy tylko go przymierzyłem, zdałem sobie sprawę, że czuję się bardziej przebrany niż ubrany, ale wrażenie to rekompensowało moje podobieństwo do Marcela Prousta z portretu Jacqua-Emile Blanche. Zmysły były niezwykle pobudzone. Oto po jakże długim okresie postu miałem spotkać tak wielu przyjaciół oddanych Pięknu i Sztuce... Ponadto, specyfika wieczornic u Prince'a pozwalała mieć mi nadzieję, że spotkania te będą intensywne, a kontakty zażyłe. Spojrzałem w lustro. Istotnie, moja twarz nabrała swoistego, hieratycznego wyrazu, który „przytrafia mi się” zawsze wtedy, gdy dużo piszę. Jest to twarz jakby nieskażona

piętnem świata, ma ona wtedy jakiś inny wymiar, który tak chciałbym opisać, a nie potrafię, zatrzymuję się przed tą bramą, nie umiem, nie jestem w stanie opisać tego wyrazu mojej twarzy i bardzo mnie to boli, artysta nie powinien mieć wyznaczanych granic, a ja się właśnie na nie nadziałem, niczym na drut kolczasty. Włosy, które dawniej mieniły się złotymi nitkami, stały się teraz (zwłaszcza w ciągu ostatniego miesiąca) ciemniejsze, jakby znacząc przejście z czegoś do czegoś, z jednego miasta do drugiego. Jeszcze czas jakiś, a będę mógł nazwać siebie brunetem. Zawsze zazdrościłem brunetom – mieli diaboliczne powodzenie u kobiet.

Wtem wskazówki zegara ułożyły się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Wybiła dziewiąta. Z zegarmistrzowską precyzją



Tomasz Młynarczyk

* Fragment powieści, która ukaże się wkrótce nakładem Konfraterni Kozirynek.

zaczęłam przygotowywać się do wyjścia. Na Działową podwiozła mnie taksówka, którą w swej zapobiegliwości wysłał po mnie Prince. Pozostały w nim jeszcze zwyczaje wielkiego świata, do którego kiedyś należał. Przecież kilkanaście lat temu Los Angeles, Waszyngton, Ottawa, Santiago de Chile, Wenecja, Madryt... cały świat był u jego stóp. Jego poemat *Deszcz w odbłaskach purpury* (wśród nas znany jako *Purple rain*) uznano za arcydzieło, za wydarzenie, za zjawisko, które zmieni historię literatury na zawsze. I tak, u samego szczytu sławy Prince uciekł, właśnie tu. Dlaczego? – żebym ja to wiedział! Po jakimś czasie stał się nieco zapomniany. Zupełnie przestał dbać o swoją sławę, która pokryła się patyną tajemniczości. Wolał być wśród nas. Finansować. Rozśmieszać. Przerażać. Inspirować. Rozsiewać wszędzie zapach Djarum, jedynych papierosów, które przypominały mu Malaje i jego ukochane miasto Port Weld, gdzie spędził dzieciństwo.

Spoglądając przez szybę mknącego w dół miasta samochodu czułem się spokojny, wyciszony, niemalże śpiący. Kiedy jednak znalazłem się przed słynną kamienicą z wygrawerowaną na murze mosiężną „szóstką”, ogarnęło mnie lekkie podniecenie, typowe dla człowieka, który ostatnimi czasy robił z siebie odludka.

Dom ten nie wybijał się ponad schludną równość innych, był natomiast niezwykle obszerny, a Prince zajmował w nim całe piętro. W mieszkaniu niżej rezydował malarz – Warda, częsty gość Księcia, o którym jeszcze opowiem, a na górze mieszkała wdowa po znanym architekcie, równie nieistotna dla tej opowieści, co dla jakiegokolwiek innej.

Lekko wbiegłem po schodach, a obcasy moich nowych butów nadawały krokom rytm zdyscyplinowany i żołnierski. Chwyciłem za kołatkę i zastukałem. Jeszcze zza zamkniętych drzwi dobiegł mnie słodki gwar, w którym na chybił trafił próbowałem rozpoznać głosy tak dawno nie widzianych przyjaciół, tych, których już znałem, i tych, których miałem dopiero zobaczyć. Może między nimi znajduje się

Marina?

Nagle drzwi uchyliły się lekko i spojrzały na mnie oczy służącego Prince’a – Rufusa. Ten Malajczyk z krwi i kości znakomicie prezentował się w blasku świec, które płonęły wokoło wydzielając wspaniałe zapach (zapewne były to świece perfumowane). Rufus skłonił mi się w pas, jednocześnie wyciągając swoją brązową dłoń po mój bilecik. Wepchnąłem mu go do ręki. Cofnął się, wciąż pochylony, po czym odwrócił się tyłem do mnie, wyprostował i wrzasnął (co było nieco komiczne):

– Przyszedł M! Powitajcie go wspólnie! Rozległy się radosne szmery i piski („Kobiece...” – pomyślałem).

Wtem zza grupki ludzi wyłonił się Prince, ubrany w wiśniową i – jak później zauważyłem – skórzaną marynarkę. Zakreślając łuk zbliżał się w moją stronę, mówiąc tak głośno, aby wszyscy go słyszeli.

– Punkt jedenasta... M do drzwi kołaczę...

Tak otwarte nawiązanie do jednego z moich wierszy było mistrzowskim zabiegiem, który nie tylko wywołał szmer śmiechu, zwłaszcza wśród znających moją poezję, ale także rozładował ciszę i rozluźnił atmosferę (w końcu artystom tak często grozi bufonada...).

Mrużąc oczy, rozejrzałem się po pomieszczeniu. Na ścianach rozwieszone były czerwone kilimy, przepięknie szyte. Wszystko skrywało się w półmroku, a poszczególne przedmioty były wydzierane ciemności jedynie za pomocą światła świec, które zostawiało odbłaski na przełubie czyjejś dłoni, bransoletce, czy twarzy. Pośrodku stał ogromny i szeroki dębowy stół.

Postąpiłem krok naprzód i od razu zobaczyłem Karolinę, która uśmiechnęła się porozumiewawczo i skinęła na mnie dłonią, w sposób, o którym dawno już zapominałem, a który był jej tylko właściwy. Wzięłem ją za rękę (czy aby odpowiednio mocno?) i odprowadziłem na bok, do okna, po drodze witając się z przyjaciółmi, albo raczej z twarzami, raz po raz wyłaniającymi się z ciemności.

- Słyszałam, że... – zaczęła Karolina, ale od razu jej przerwałam.
- O niczym nie słyszałaś, a jeśli słyszałaś, to nie tak naprawdę nie wiesz, rozumiesz?
- Karolina, przestraszona moim głosem i wzrokiem, zmieszała się, odgarnęła włosy z czoła i powiedziała:
- Masz do mnie żal? – Tak. Dlaczego unikałaś mnie, kiedy tak bardzo cię potrzebowałam? Zawsze! Dlaczego nie ufasz mi tak, jak kiedyś? Czy nie pamiętasz już, swojego zeszytu z wierszami, który czytałem? Naszych rozmów wiosną, na trawie? Karolina jakby otrząsnęła się z głębokiego snu. Spojrzała na mnie jeszcze raz, tak długo i przeciągle. Wyciągnęła do mnie swoją dłoń, a ja, nie wiedząc co robię, mechanicznie podniosłem ją do ust i ucałowałem.
- Chcę ci powiedzieć tylko jedno, M. Miłość wikła ludzi w niebezpieczne związki, z jednych trudno wyjść cało, z innych trzeba się ratować w ostatniej chwili. Miłość to gra o życie, a jeśli już życia się nie da uratować, to o honor. Ty, z tego co słyszałam, honor swój już straciłeś.
- Nie mogłem tego słuchać, coś świdrowało moje zmysły, Karolina była jak mądra, piękna, długonoga i zielonooka wróżka. W tym momencie po raz pierwszy poczułem, że nic łącząca mnie z Velvet pęka, i mało mnie to obchodzi. Że jej trójkątne piersi i ramiona, które doprowadzały mnie do szczytów namiętności, stają się historią wkołysaną już nie w moje zmysły. Czułem to niemal fizycznie. Patrzyłem na to jak wraz z Velvet odchodzą rośliny i symbole, wszystko co się w niej zawierało. Wanilia i złoto, jaśmin i orchidea, skrzydlata figura Anioła Śmierci, zamysłony Pigmalion powoli kroczący po komnacie, wreszcie rajska Ewa.
- Karolina zaskakująco szybko odgadła moje myśli. Kocim ruchem schyliła się po kafelek z likierem miodowym, nalała sobie i mi, i sama wtuliła się w moje ramie, podczas gdy ja, przeżywając to nie znane mi dotąd uniesienie, patrzyłem w okno.
- Pamiętasz freski Correggia w katedrze w Parmie? – zapytała mnie nagle – Ewa oddaje jabłko Maryi. Rozumiesz? Ewa

oddaje jabłko Maryi...

- Czy to przekreśla jej grzech? – zadałem pytanie czując zapach perfumu Karoliny (chyba Jil Sander), błędząc dłonią w jej miękkich blond włosach i szukając ustami jej ust, połyskujących w ciemności niczym dziki i zakazany owoc.
- Tego nie wiem, ale wiem, że usprawiedliwia ją. Pamiętaj, że Pigmalion rzeźbi, ale... nie może być przy rzeźbie stale. – dodała z uśmiechem – Musi zaufać i sobie i jej. Dać wolność. Musi wierzyć, że zasiał w niej ziarno, które wreszcie wzrośnie i wyda owoce.
- Czytałaś wiersz Velvet?
- Tak! Czy on nie jest jak jabłko, które Ci oddała? Czy ty w ogóle mogłeś dostać coś więcej? Czego chciałeś? Jej ciała, tak dalekiego od dziewiczości? Jej duszy, której nie mogłeś już odróżnić od własnej? – podniosła ton i wyrwała się z mego uścisku – Bądź mężczyzną. Soyez grand! Jesteś silny, silniejszy niż Ci się wydaje – zakończyła odchodząc w kierunku stołu – Porozmawiamy o tym jeszcze.
- Krew pulsowała mi w skroniach, pośpiesznie trawiłem jeszcze w sobie słowa Karoliny, a kieliszki miodówki roznieciły we mnie ogień.
- Tanecznym krokiem podbiegł do mnie Prince. Jego twarz lśniła od wypoconego alkoholu. Większość gości paliła papierosy na balkonie. Księżę zaprowadził mnie do stołu i z ojcowską troskliwością powiedział:
- M, najedz się. Zobacz i skosztuj. Pity, putpuri, lawasze, paratha, naan – specjały Bliskiego Wschodu (spojrzałem na stół, który pokazywał Prince, i dojrzałem placki, i ciastka o najbardziej dziwacznych kształtach, jakie mogłem sobie wyobrazić). – Tu jest ser, tam owoce i krewetki – opowiadał dalej w pośpiechu nakładając wszystko na mój talerz. Trzęsły mu się ręce – Potem zapraszam na papierosa. Dopilnuj, żeby wszystko zjadł – rzucił w kierunku Karoliny, które usiadła naprzeciw mnie i dłużyła widelcem w jakiejś sałatce.
- Rozglądając się po mieszkaniu zauważyłem, że rozrzucone tu i ówdzie snopy światła wywoływały wrażenie większej ilości osób,

pozostawiając odbłaski na skórze czyjejś twarzy, czy ramionach. Odbierało to naszej wieczornicy pozory realności i chyba o to nam chodziło, przecież naszym nieodświeżonym marzeniem było stworzenie życia, którego esencją i treścią byłaby sztuka przemawiająca językiem niecodziennym i egzotycznym. Byłem szczęśliwy i uległy swoistej apatii. Dym unoszący się z poukrywanych po kątach kadzielnicy wydzielał podniecającą woń drzewa kokosowego. Nie zdążyłem się nawet odezwać do Karoliny, której słodka buzia wypchana była sałatką, gdy do stołu przysiadło się kilka osób. Poczułem lekkie ściśnięcie za rękę. Obejrzałem się i poznałem Milenę, która z wyraźnym trudem zajmowała miejsce przy stole. W półmroku wydawała się bardziej blada niż zwykle. „Albo już jest pijana, albo na mocnym rauszu”. – pomyślałem przypominając sobie zamięłowanie Mileny do alkoholu pod wszelką postacią.

- Tymczasem Warda, malarz i sąsiad Princea z mieszkania poniżej, otworzył swoje usta. Wdałem się z nim w rozmowę, a on przysiadł się do mnie wlepiając we mnie swoje rybnie oczy. Światło księżyca tańczyło salsę na jego łysiejącej głowie.
- M, czy słyszałeś o moim nowym projekcie? – zapytał, a w jego głosie można było poczuć, że jest to pytanie retoryczne, przecież mówił o tym projekcie wszystkim.
 - Krew poety? Ależ słyszałem! Gdzie masz sztalugi z nowymi częściami?
 - Leżą u mnie w piwnicy – odpowiedział Warda. Chciałem na tych płótnach oddać wysiłek poety, który pisze krwią, stąd oczywiście nazwa. Powiedz mi, czy zawsze pisze się krwią?
 - A co myślisz? – odrzekłem z nutką ironii w głosie. Pewnie. Kiedyś spróbowałem napisać o radości, która mnie ogarnęła, zużyłem setki kartek, wypisałem całe pióro i... nic. Ale, kiedy boli, wtedy atrament sam cieknie z przebitego boku poety...
 - A więc poeta jest Mesjaszem...
 - Czasami jakby tak... – odrzekłem znudzony.
 - Ty pozerze... – zaśmiał się Warda błyskając zębami – Ciekaw jestem co na to samo



📷 Tomasz Młynarczyk

pytanie odpowie mi Prince – zakończył zapalając papierosa.

Siedząca niedaleko mnie Milena usnęła przechylając się na krześle niczym wiotkie drzewo dotknięte podmuchem wiatru. Była niezwykle piękna, teraz wreszcie, gdy była pogrążona we śnie, mogłem w spokoju patrzeć na jej cudownie długie rzęsy kryjące za swym delikatnym pierzastym murem diamenty oczu. Karolina odeszła gdzieś, a ja udałem się na balkon zapalić.

Wszyscy czekali na Gustawa, naszego pianistę i kompozytora, który lada chwila miał się zjawić i zagrać nam swój nowy utwór na pianinie stojącym niepozornie w kącie salonu... Świece i kadzidółka dogasały z wolna.

Idąc na balkon nachyliłem się nad Mileną i delikatnie ucałowałem jej dłoń, zimną i miękką niczym wełna.



📷 Paweł Żochowski

Gustaw... Był prawdziwą gwiazdą Rodziny, jak sami siebie nazywaliśmy. Rankiem kompozytor, po południu dyrygent, wieczorem – pianista. Wizjoner. Zawsze, kiedy rozmawiałem z nim o jego muzyce, powtarzał mi: „Pamiętaj! Mój czas dopiero nadejdzie.” Mam nadzieję, że świadomość tych słów stanowi dla niego jakieś pocieszenie, ponieważ za życia nie będzie w stanie potwierdzić ich prawdziwości. Odróżniało go od nas to, że był o wiele bardziej ascetyczny i zdeterminowany w tym co robi. Członkowie jego orkiestry, których czasem spotykałem, mówili mi, że Gustaw nigdy nie opuścił próby, nigdy nawet się na nią nie spóźnił. Po prostu stawał za dyrygenckim pulpitem i w tym momencie istniała tylko muzyka. Noce spędzał na komponowaniu, tylko w ostateczności sięgając po ulubione cygara z Tahiti. Żył tym i tylko tym, co robi, bez otoczki, bez mgiełki niezwykłości. Zawsze wydawało mi się, że Gustaw traktuje nas wszystkich z przymrużeniem oka, niezupełnie serio.

Odszedłem w głąb sali, by porozmawiać z Mileną, a może i uciec od natrętnego Wardy. Czułem, że gram, że obiema nogami twardo stoję na tej kiczowatej scenie, tu, na Działowej, u Prince'a. Te ozdobniki, wywoływanie nastroju, te orchidee i metempsychozy, Upaniszady i Djarumy, Szechiny i Hagady, złoto i blichtr. Co jest za tą kurtyną? Grupka

idiotów, popaprańców, proroków, nikomu niepotrzebnych mesjaszy, śmiertelny korowód? Stos gnijących kości? Kim jesteśmy? A powinniśmy być silni... Kilka ulic dalej gromadzą się przecież bagaudzi. Tak, tak, to ci sami, którzy burzyli Rzym, bandy zgłodniałych wieśniaków i zbuntowanych niewolników. Zmienił się tylko ich strój. Teraz noszą dresy, łańcuchy, wmawiają, wrzeszczą mi do ucha „Człowieku, wyluzuj!”, a robią to po to, by zagłuszyć moją czujność. Czyszczą broń. Dzielą się na oddziały. Dobrze, bawmy się wypijmy i zjedzmy jak najwięcej, zanim przyjdą, by poderżnąć nam gardło, spalmy i zażyjmy do oporu, zanim wdepczą nas w podłogę. Ostatecznie, przeżyliśmy już tyle, że chyba tylko to byłoby dla nas czymś nowym...

Pojawił się Gustaw. Bardzo cicho, nawet nie słyszałem dzwonka. Wszedł niepewnym, ale miarowym krokiem, mrużąc oczy. Jego szczupła, opalona i poprzecinana zmarszczkami twarz jaśniała dla mnie w blasku świec niczym ostatnia nadzieja. Wiedziałem, czułem to pod skórą, że to jest prawdziwy artysta. Najprawdziwszy. Jedyny. Gustaw nie szukał rozgłosu. Powitał Prince'a skinieniem głowy, oddał płaszcz służącemu i usiadł przy stole.

- Ależ z niego gbur, nawet się ze mną nie przywitał! – wtrąciła Milena nachylając się nad moim uchem. Ciepło bijące z jej ust przyprawiało mnie o drżenie, ale słowa mnie zdziwiły.
- Przestań – szepnąłem. On po prostu taki jest. Wydaje mi się, że nie ma w tym pozy. – Czy ja wiem... – upierała się Milena popijając drinka
- Naprawdę! Zobacz, ty piszesz swoje kaligrame, ja wiersze i opowiadania, i robimy wszystko, aby się wybić, wypromować, co samo w sobie narzuca nam pozę i przesadną wiarę w to, co robimy. Sami, automatycznie tworzymy coś, co chcielibyśmy nazwać własną legendą. A Gustaw? On wierzy, że wszystko, co chciał powiedzieć światu, jest zawarte tylko w jego muzyce (kątem oka dostrzegłem Wardę rozmawiającego z Prince'm w rogu salonu). Wierzy i – co dziwniejsze – zdaje się być spokojny. Zachowuje przy tym

godność, nikogo nie prosząc o nic...
 – ...i chodząc przez to w starym, niemodnym garniturze! – w ciemności zobaczyłem jej połyskujące w uśmiechu białe zęby.
 Odwróciłem się i ujrzałem kolejne światło.
 Azzaro! Blaskiem były jej oczy, ciemne jak krew i błyszczące się jak dojrzałe jeżyny, oczy, które patrzyły na mnie, a nie widziały nic, utkwione w jakimś punkcie, który znajdował się poza zasięgiem poznania. Nuciała piosenkę.
 Zatoczyłem łuk, aby dosłyszeć słowa wydobywające się z jej półprzymkniętych ust. Potrąciłem Warde, który nieomal wylał na mnie zawartość swojego kieliszka, i mimo, iż trzymałem się w bezpiecznej odległości od Azzaro, znalazłem się wystarczająco blisko, by słyszeć jej głos. Wyglądała jak małe dziecko bawiące się własnymi rączkami i nóżkami, zupełnie odcięte od zewnętrznego świata. Jej pieśń przypominała gaworzenie. Podsunąłem się bliżej i słyszałem wyraźnie słowa:

*Z zabitych rąk deskami zdań wychodzą sny
 By spojrzeć nań nie trzeba nic lecz
 Z każdych rąk wypada krzyż
 Brzęcząc jak bąk i ciągnąc wzwyż
 Wyżami drzazg by zbawić stertę ludzkich miazg*

*Oto dwie drogi: przestrzeń się rozdziela
 W twoim belkocie coś dostrzec niełatwo
 Któraś prowadzi mnie do Izraela
 Lecz na jej końcu nie zabłyśnie światło
 Z zepsutych ciał plamkami ran wypływa krew*

*Tu mały krok jasności wspak
 Tu mały krok ciemności wbrew
 Słowo na nie słowo na tak
 Może być podły może być wspaniały
 Lecz nade wszystko musi być on mały
 Co będzie dalej jutro to ustalę
 Teraz zaśpiewam: „Male che fa male”².*

To wszystko brzmiało jak tania rymowanka, ale nie trzeba mi było wiele, aby odkryć w tym głębszy sens, i zrozumieć, że tylko w ten sposób Azzaro mogła dojść do głosu. Tylko tu i z butelką w ręce. Teraz wreszcie mówiła. Teraz była najciemniejsza z nas wszystkich. Azzaro! Siedząc tyłem do



📷 Tomasz Młynarczyk

mnie, który wysłuchałem całej piosenki, Azzaro wzruszyła ramionami. Jej blade dłonie zacisnęły się na oparciu fotela. Siedziała w pozie bardziej męskiej niż ktokolwiek z facetów tutaj obecnych. Jej oczy szukały wyzwania i przeproszały za tę chwilę słabości, lustrując czy przypadkiem nikt jej nie zauważył. Nie bój się Azzaro, to tylko ja. A ostatecznie, co ja mogę. Nawet nie wiesz. Nie znasz mnie.

Tymczasem wszyscy zgromadzili się wokół fortepianu, gdzie stał Gustaw. Usadowił przy nim, zupełnie, jak gdyby zabierał się do, bo ja wiem, obierania truskawek. Jego ostre rysy zdawały się być jeszcze bardziej wyraziste. Dłonie nerwowo próbowały dźwięków uderzając w coraz to nowe klawisze, wydobywając tony na przemian niskie i wysokie. Wreszcie zaczął grać. Za moimi plecami cichły ostatnie szmery,

wszyscy zebrali się w koło, zapalono więcej świateł, przysunięto krzesła. Muzyka brzmiała tak świeżo... Bezwiednie zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie wielką rzekę płynącą z ogromną siłą i nawałnią poła pełne czarnej ziemi. Tyle, że ziemi już nie było, lecz tylko czerni. W tle majaczył las, który kiedyś już widziałem, wzgórze, do którego tęskniłem, a nie byłem go w stanie zobaczyć na co dzień. Po chwili wydawało mi się, że nie ma już czerni, tylko błękit rzeki, ale z każdym powrotem tematu utworu ona wracała, gęsta jak bita śmietana i łagodna jak atlas. Zalewała mnie. Ale nie była to czerni bólu. Nagle zobaczyłem żółć, najbardziej jaszkrawą, jaką tylko mogłem sobie wyobrazić, miarowo wyciskaną z pól przez słońce. I oto w mojej wizji pojawiła się Marina, której tak długo szukałem w pamięci. Nie miała twarzy, była tylko melodią. Spójrz na mnie, pomóż mi rękę na czole, o tak. Zimno mi, nie odchodź, nie przestawaj. Być. O, utracone symbole, soczyste owoce, których nie dane mi będzie spożywać! Tyle bzdur, tyle głupot, a przecież tyle piękna i uniesień, które niby rośliny rosną gdzieś głęboko we mnie i nikt nie może ich wyrwać. Czy jestem Prorokiem, i jeśli tak, to gdzie moja Niniwa, w której będę nauczał? Tyle razy już zwracałem do Tarszisz...

Gustaw grał dalej, jakby nie zgadzając się na piękno łamał nuty, zawieszał je w przestrzeni i odwracał. Niedostrzegalna harmonia spływała spod jego świętych palców.

Jak wielką miałem potrzebę wtulić się teraz w ramiona Mileny, ukryć się w nich! Spojrzałem na nią, siedzącą obok Nezy. Jej wzrok uciekł w pozaprzestrzeń, a między oczyma pojawiła się niska zmarszczka. Była zasłuchana w muzykę ni mniej, ni bardziej od innych. Wyobraziłem sobie, jak przytulam ją, szepcę coś do ucha, patrzę jej prosto w oczy. Tak bardzo potrzebuję dotyku. Nie, to się nie stanie. Tylko wtedy, tamtej nocy przed jej bezsensowną ucieczką do Świdnika, teraz już nie. Tamtej nocy była dla mnie Milka, teraz i na zawsze będzie już Mileną. Ręce

Gustawa muskały klawiaturę coraz wolniej i wolniej, aż wreszcie zakończyły swe panowanie nad umysłami nas wszystkich kończąc sonatę triumfalnym powrotem głównego motywu.

– Zwycięstwo... – wyszeptał Prince, który ni stąd ni zowąd pojawił się przy moim ramieniu.

– Czyje? – zapytałem go nie mogąc oderwać wzroku od postaci Gustawa.

– Wasze – odpowiedział mi Prince zachrypniętym głosem – Cieszcie się nim, bo może się już nie powtórzyć. Zresztą, chyba nie rozumiecie sami. Ty, M, jako jedyny masz szansę, ale ciągle coś cię oddala, ciągle się spóźniasz, jesteś jak lekarz, który pędząc do chorego przez pustynię z ampulką chininy w ręku daje się głupim mirażom zwieść – mówił pośpiesznie, patrząc mi w oczy z żalem – A chory umiera, może nawet już umarł. To dziwne. Ja, Malajczyk, widzę to o wiele wyraźniej od was. Was już nie ma, rozumiesz M? Jeszcze chwila a kościoły własne podpalicie i relikwie swoich świętych psom i bydłom rzucicie na pożarcie. Zresztą, co mnie to obchodzi. Śpiewajcie sobie tysiąc ód do radości, to i tak niczego nie zmieni. Zaprzeczacie samym sobie.

Prince, dlaczego mówisz „wy” a nie „my”? – próbowałem się bronić. Byłem strasznie zaskoczony, a co najgorsze, wiedziałem, że Prince ma rację.

– Czy ja się rodziłem w Europie? To wasz cholerny kontynent! Mówię tylko o zapachu, którym jesteście zacządzeni do tego stopnia, że w ogóle go nie czujecie. To zapach śmierci.

Odszedł, a ja znów uparcie wpatrywałem się w Gustawa, który, podczas gdy ja rozmawiałem z Prince, zagrał jeszcze jeden krótki utwór. Wszyscy byli zbyt poruszeni, żeby nagrodzić go oklaskami. Nie dbał o nie zupełnie. Odszedł od pianina czule gładząc klawisze, bezceremonialnie je zamknął, podszedł do stołu i zaczął nakładać sobie pierożki na talerz, który podał mu Rufus. Teraz istniało dla niego tylko jedzenie.

Zmęczonym wzrokiem rozejrzałem się po sali i zauważyłem, że Karolina wylądowała na



📷 Paweł Zochowski

kolanach Princea, który, ruchliwy jak zwykle, tym razem znajdował się w przeciwnym końcu sali.

- C'est l'artiste de dragonade!³ – zaśmiała się Rachel.
 - Pour faire dragonade ne faut pas etre l'atrliste⁴ – odpowiedział jej z ironią.
- Nie lubiłem tej dziewczyny zbyt pełnych kształtów i zbyt płaskich dowcipów (choć biust też miała w zasadzie płaski, z racji czego Milena nazywała ją „naleśnikiem”). Zawsze wydawało mi się, że Rachel znalazła się w Rodzinie tylko jako element egzotyki i żywy przykład naszego obłądnego filosemityzmu. Niektórzy mówili o niej, że jest córką jakiegoś chasydzkiego cadyka z okolic Kluczborka, ale mało kto w to wierzył. Swoim zachowaniem nie obrazowała wcale apokaliptycznego żaru, nie poszukiwała prawdy Bożej, tylko kolejnych romansów.
- Zegar wybijał późne nocne godziny, my

wszyscy, zebrani u Prince'a pompo-
waliśmy w siebie najbardziej wyszukane
alkohole, wykorzystywaliśmy tę możli-
wość, aby wznieść się ponad radość i
ponad smutek. Niestety, bezwiednie sta-
nęliśmy twarzą w twarz z naszą własną
pozą, naszą własną obłudą i niemocą.
Dziewczynom zaczął rozmazywać się
makijaż, facetom gniotły się garnitury. Z
drugiej strony muzyka Gustawa dała nam
nadzieję, a być może pokazała drogę. To od
nas zależy, czy okazemy się godni nią
pójść.



¹ Bądź wielki! (fr.).

² *Male che fa male* – nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło (wł.).

³ Oto artysta podrywku (fr.).

⁴ Aby dobrze podrywać nie trzeba wcale być artystą (fr.).



DARIUSZ DOROSZ

Pusty portfel

Palące potrzeby pomijam
Płatne przyjemności porzucam
Pacierze proszące pokornie
przemiany pustych perspektyw
pełnych płaskiego pesymizmu
podnoszę poprzez
pełne puchary procentowego płynu
Padając pokłoniony promilom...